Nr. 58. Lwów — Piątek dnia 11 Marca. Rok 1892.

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.

Cena prenumeraty.

We Lwowie bez dostawy		Na Prowincyi z przesyłką pocztową	
Miesięcznie	zł. — 75 ct.	Miesięcznie	zł. 1 10
Kwartalnie	2 „ 25 „	Dwumies	„ 2 10
Półrocznie	4 „ 50 „	Kwartalnie	„ 3 —
Rocznie	9 „ — „	Rocznie	„ 12 —

Za dostawę do domu miesięcznie 25 ct.

Numer kosztuje 4 centy.

Prenumeratę z dostawą do domu we Lwowie należy składać w Biurze Dzienników, ul. Karola Ludwika Nr. 9.

Prenumerata tak miejscowa jak i zamiejscowa winna się kończyć z końcem miesiąca, kwartału, półrocza lub roku. Inne się nie przyjmują.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Z zamiejscową prenumeratą zgłaszać się należy do Administracyi „Przeglądu" we Lwowie przy ulicy Sykstuskiej L. 45. Zmiana zamiejscowej prenumeraty na miejscową i odwrotnie jest niedopuszczalna.

Uprasza się prenumeratę przysyłać przekazami pocztowemi, a nie w kopertach. Osoby przysyłające pieniądze w kopertach raczą dopłacać po 5 ct. do każdego listu.

Miejscową prenum. we Lwowie przyjmują Trafika J. Ważnego, ulica Czarnieckiego 8.
„ przy ul. Karola Ludwika 5
„ „ ul. Jagiellońskiej liczba 4
„ „ ul. Słowackiego (obok łazienek Diany)
Biuro dzienników, ul. Karola Ludwika liczba 9

Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Dziś: św. Anieli F. — Wasylya Jep.
Jutro: św. Grzegorza W. — Kosyana

Adres Redakcyi i Administracyi: ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca g. 6 m. 30
Zachód „ „ 5 „ 53

Długość dnia g. 11 m. 23
Przybyło dnia 3 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 10 marca.

Otrzymujemy następujący list z Petersburga.

(△) W głowie się mąci, czytając memoryały, które marszałkowie szlachty nadesłali o chaosie, panującym w wewnętrznych guberniach państwa, i dziwić się nie można, że tu już zaczynają dygnitarze bezradnie opuszczać ręce. Najstraszniejszem jest przekonanie, że klęska głodowa wyrosła w olbrzymi taran, kruszący państwo, nie z dopuszczenia Bożego, ale w skutek zdumiewającej nieudolności całej maszyny administracyjnej. Głód można byłoby opanować, nawet bardzo łatwo, gdyby w porę i rozsądnie użyto środków, będących pod ręką i tak łatwych, jak tylko być może. Ale z początku było zwyczajne niedbalstwo i próżniactwo czynowników, którzy nic nie wiedzieli o rozmiarach niedostatku i nic nie donosili rządowi. Potem, gdy się już spostrzeżono, że głód jest, czynownicy, aby ukryć swe niedbalstwo, umyślnie w raportach zmniejszali rozmiary klęski. Wreszcie zaczęły się kradzieże nadsyłanej głodnym żywności. To był pierwszy peryod ratunkowej akcyi. W Petersburgu ujrzano, że trzeba jakichś wyjątkowych zarządzeń. Przedstawiono to carowi, a on z tą samą wiarą w swą nieomylność, z jaką przed kilku laty osobiście prowadził politykę afgańską i omal nie wywołał wojny z Anglią, z tą samą zręcznością, z jaką również sam doprowadził do oderwania się Bułgaryi, wziął akcyę ratunkową w swoje ręce i wysłał swych fligel-adjutantów, jako nadzwyczajnych komisarzy z wyjątkowemi pełnomocnictwami. Jeden z tych panów, pułkownik von-Wendrich został czemś w rodzaju dyktatora kolejowego. Obowiązkiem jego było energicznie wysyłać pociągi ze zbożem do gubernij nad Wołgą, gdzie inni pełnomocnicy mieli rozdzielić ziarno podług własnego uzględnienia. P. v. Wendrich istotnie wziął się bardzo energicznie do rzeczy, której zupełnie nie rozumiał. Wszystkie wagony próżne, jakie gdziekolwiek znalazł, ładował pośpiesznie i wysyłał jedne za drugimi. Pchał je i pchał w jedną stronę, aż nareszcie od tego nagromadzenia się pociągów powstały na niektórych stacyach, nieobliczonych na taki nawał wagonów, formalny zator wagonowy. Ruch nagle ustał, bo nie było wolnych torów. Na węzłach kolejowych nie można było zestawiać pociągów, aby je dalej wysyłać w różnych kierunkach. P. v. Wendrich skarży się, że urzędnicy kolejowi umyślnie zrobili mu taką psotę, aby go skompromitować i to do pewnego stopnia jest prawdopodobne. Ten splątany kłębek pociągów będzie teraz rozplątywał p. minister Witte, który za warunek przyjęcia teki postawił odwołanie pułkownika v. Wendricha, na co car musiał się zgodzić.

Ale oto druga okoliczność, którą możnaby było zaliczyć do mąk Tantala. Pociągi zbożowe były plombowane przez pomocników v. Wendricha i na każdym wagonie napis wskazywał na jaką ostatnią stacyę on jest wyekspedyowany. Uczyniono tak dla tego, aby po drodze nie rozkradziono ładunku. Tymczasem w chaosie pośpiechu i w skutek braku miejsca do szybowania wagonów i zestawiania pociągów, wiele ich poszło w innych kierunkach. I tak, do Samary przyszły pociągi przeznaczone do Saratowa, do Penzy te, co miały być w Tambowie i odwrotnie. Powstało zupełne zamięszanie. W skutek tego w wielu miejscowościach odbyły się sceny okropne, z których tylko jedną opiszę. Do Kuzniecka zatelegrafował Wendrich pomocnikowi swemu, że za trzy dni otrzyma dwa zbożowe transporty z ośmdziesięciu wagonów. Więc pomocnik natychmiast kazał zgromadzić ze wszystkich wsi fury, aby zboże to rozwieźć. Do miasteczka zbiegły się tłumy głodnych z pustemi workami, do których mieli wziąć otrzymany zasiłek. Czekali cierpliwie. Minęły trzy doby — transporta nie nadeszły. Pomocnik Wendricha zatelegrafował, — odpowiedzi nie było. Minęła jeszcze doba. Tłum zaczął narzekać, burzyć się, zrabował stragany. Więc dla porządku sprowadzono kompanię piechoty. Piątego dnia nadeszło naraz kilkanaście pociągów towarowych. Powitano je okrzykami „hurra!" lecz się okazało, że żaden z nich nie jest dla Kuzniecka, ale dla innych miejscowości, leżących przy zupełnie innych kolejach. Powiedziano to tłumowi i kazano mu jeszcze czekać, ale już on wyczerpał swą cierpliwość: rzucił się na wagony, począł je rozbijać, ale wtedy piechota zaczęła przywracać porządek — i tak zamiast chlebem poczęstowano głodnych kolbami i bagnetami. Nie jest-że to dla owych nieszczęśliwych istna tantalowa męka?

Tak jest prowadzona cała ratunkowa akcya. Ludzie mrą z głodu, a pełne wagony zboża ciągle jeżdżą tam i napowrót, szukając miejsca swego przeznaczenia. Na domiar złego, po nawalnym śniegu przyszła nagła odwilż. Zboże naładowane w workach na odkryte wagony zamokło i grzać się zaczęło, następnie mróz ścisnął — i cała ta mokra masa w workach zlodowaciała. Lekarze orzekli, że od takiego chleba będzie biegunka. Sprawozdania marszałków szlachty podają, że zaledwo setną część nagromadzonego zboża rozdano głodnym, reszta marnieje na kolejach, albo ginie w drodze do wsi, już na wozach, bo wynędzniałe konie zdychają w połowie drogi. Donoszą o takich wypadkach, że chłopi dowiedziawszy się o transporcie, który ugrzązł w drodze z powodu wyzdychania koni, wyruszali gromadnie po ten skarb najdroższy — i nie wracali: zamieć ich pokryła i zamarzli w polu, o parę mil od wsi. Może się zdawać, jak gdyby Bóg chciał ukarać Rosyę jej własnemi rękami.

Zbliża się wiosna, mrozy ustaną, śnieg zejdzie, ale głód się nie zmniejszy. Ogromne zimno trzyma lud w chatach, które choć nieopalane, przecież dają jakieś schronienie. Ale gdy ciepło wiosenne pozwoli chłopstwu wyroić się z wiosek, natenczas powstanie wielkie niebezpieczeństwo rozruchów na ogromną skalę i na takim obszarze, jak niejedno państwo w zachodniej Europie. Tego właśnie się obawiają w Petersburgu, o tem piszą marszałkowie szlachty, żądając dostatecznych środków ostrożności. A tu tymczasem wojska nie ma — wszystko stoi na zachód od Dniepru. Dla tego to postanowiono już wstrzymać wszystkie dyslokacye, a zapewne niebawem poczną częściami odwoływać pułki z Litwy i Kongresówki ku tym środkowym guberniom, gdzie się zapewne podniesie wojna chłopska"..

Tyle o tej sprawie piszą nam z Petersburga.

Najpoważniejsze dzienniki stają się niekiedy ofiarami mistyfikacyi, albo żartu bardzo niedorzecznego. Zdarzyło się to świeżo angielskiemu *Standardowi*, który jest pismem bardzo wybrednem w doborze wiadomości. Petersburski korespondent jego opowiada taką zabawną bajeczkę:

Kiedy cesarz Wilhelm wygłosił swą mowę podczas bankietu sejmu brandenburskiego, jeden z dygnitarzy rzekł mu: „Jednakże, mając taką pewność zwycięztw wojennych, nie powinniśmy zapominać, że Rosya może nam wsiąść na plecy". Na to odparł cesarz: „Ja Rosyę zetrę na proszek". (Ich werde Russland pulverisieren). Dowiedział się o tem rosyjski ambasador hrabia Szuwałow, przekonał się, że cesarz istotnie tak powiedział i doniósł do Petersburga. P. Giers zaraportował carowi, a car przywołał ambasadora niemieckiego jenerała Schweinitza i tak mu rzekł: „Donieś pan swemu cesarzowi, że jeśli mu się chce ścierać Rosyę na proszek, to ja z wielką przyjemnością wydam rozkaz, aby pół miliona żołnierzy przekroczyło granicę".

Co się dalej stało, tego już nie donosi korespondent *Standarda*; konceptu mu zabrakło po takim wysiłku na sensacyę.

Po wszystkich uzupełniających wyborach okazało się, że rada hrabstwa pięciomilionowego Londynu posiada 84-ch gladstonistów, a tylko 34-ch torystów. Więc gladstoniści odnieśli olbrzymie zwycięztwo, tem ważniejsze, że Londyn zawsze był na wskróś torysowski. Jest to zapowiedź, jak wypadną ogólne wybory do parlamentu. Nie ulega już wątpliwości, że dadzą one większość radykalno-gladstońską. Otóż ta pomyślna perspektywa tak ich uradowała, że już teraz wystąpili w parlamencie z wnioskiem odziału Brytanii europejskiej na cztery części, zupełnie samodzielne w życiu wewnętrznem, a tylko skonfederowane dla spraw zagranicznych. Według tego wniosku powstaną: królestwo irlandzkie, królestwo szkockie, królestwo angielskie i wielkie księstwo wallijskie. Każde z nich będzie miało radę narodową, z której delegaci będą się zjeżdżali dla uchwał w sprawach wspólnych. Stosunek między temi państwami ma być taki, jaki istnieje między Austryą a Węgrami. Oczywiście, wniosek ten zaraz nie wejdzie w życie, ale w tym kierunku pocznie się rozwijać historya angielska i zczasem rozpadnie się to, co przed wiekami zjednoczył miecz angielski.

Korespondencye.

Wiedeń 7 marca.

(·/.) To, co się od dwóch tygodni tutaj dzieje, nie jest sprawą lokalną. Albowiem niezręczna akcya ratunkowa, prowadzona w sposób niesłychanie niedołężny przez tutejszy magistrat, może wywołać zarówno rozszerzenie się niezadowolnienia, jak i wzrost pretensyj tłumu robotniczego. Jeżeli zaś zima nieco dłużej potrwa, to może nawet przyjść do wielkich rozruchów, — a wszystko to z winy i niedołęstwa władz miejskich. Wogóle leży jakiś zły czar na wszystkiem, co tutejszy magistrat robi. Zaprowadził nową taryfę fiakrów, ale tak powikłaną i pełną sprzeczności, że nikt jej nie zachowuje, więc nie ma taryfy, a ztąd tysiączne spory między publicznością a dorożkarzami. Zaprowadził nowy regulamin dla sług i od razu jeneralnie całą tę warstwę ludności zdemoralizował. Onegdaj zaprowadził nową taryfę tramwajową; miała być tańszą, strefową, a jest znacznie droższą. A zwłaszcza dla ludności zarobkującej, która robi dalekie kursa, bo mieszka na przedmieściach, a w niedzielę i święta radaby użyć świeżego powietrza, tymczasem właśnie na niedzielę wszystkie kursa podniesiono o 2 centy.

A pamiętać o tem potrzeba, że brak roboty i nędza jest wybornym terenem do wyścigów o popularność dla wszystkich ambitnych ludzi, którzy na barkach tłumu chcą się wznieść ku górze. Magistrat nadto ułatwił im te wyścigi. Rozbudził nadzieję, że będzie w bród roboty przy owych zapowiadanych budowlach wiedeńskich, wskutek tego tysiące robotników przyciągnęło z prowincyi do Wiednia. Robót jednak nie przygotowano, a tych, które dawno mogły być rozpoczęte, dotąd nie podjęto. Do zaradzenia nędzy wzięto się za późno i całkiem niedołężnie. Prywatna ofiarność jest ogromna, ale komitety i władze miejskie marnują pieniądze i z nędzą obchodzą się w sposób barbarzyński. Zwołują tłumy, każą im stać w śniegu i na mrozie całe godziny wśród tłoku, bitek, omdlewań, targania i darcia szat. I rozdają — nie wiedząc komu — chleb i ubrania i po guldenie lub po dwa. Tym sposobem żadnej rodzinie nie przynosi się ulgi, ludzie przemarznięci chorują, a setki nicponiów wyzyskują tę rozatomizowaną dobroczynność. Pomimo, że między liberalnymi przywódzcami magistratu a tutejszemi liberalnemi dziennikami panuje wzajemna admiracya, przecież nawet *Neue Freie Presse*, po dwóch tygodniach zgorszenia, zmuszoną się widzi wołać: „władzom miejskim brakuje zupełnie znajomości stosunków, aparat oficyalnej (miejskiej) administracyi ubogich okazał się zupełnie niezdolnym do szybkiego i skutecznego wspomagania prawdziwie potrzebujących, pomimo że miał do dyspozycyi dostateczną sumę pieniędzy. Potrzeba jest reforma tych urządzeń!" Zdaje, że i wysokie sfery są już zgorszone, gdyż *Fremdenblatt* pisze: „Sumy, jakie publiczność dostarczyła powinny być użyte według ścisłych reguł gospodarczych, inaczej ofiary serc dobrych stają się bezpłodnem marnotrawstwem. Rozdawnictwo chleba wywołuje rozruchy i tumulty, grzeszy przeciw godności ludzkiej i nie jest zgoła do potrzeby zastosowanem. Nie ma żadnej gwarancyi, że nikczemne indywidua, nie zasługujące na żadną litość, korzystają z tego rozdawnictwa; w całej akcyi nie ma zgoła organizacyi, wszystko odbywa się bez należytej podstawy i bez planu, bez znajomości potrzeb i bez skutku".

Co zaś do robót, to sfery techniczne zapewniają, że liczne roboty od dawna można było i należało podjąć, a jedynie niedbalstwo i nieudolność są powodem klęski, która może stać się groźną. Mogą komitety rozdać, rozrzucić jaki milion guldenów, a zgoła nędzy ani nie ulżą ani jej nie zaradzą.

Przykład ten Wiednia powinien być przestrogą dla naszych wielkich miast.

Petersburg 28 lutego.

Donosiłem wam przed paru tygodniami o mającej wkrótce nastąpić konsekracyi rektora tutejszej akademii duchownej ks. Symona na biskupa sufragana i koadjutora archidyecezyi mohilewskiej. Dziś podaję kilka szczegółów biograficznych o nowym dostojniku Kościoła.

Urodzony d. 13 marca 1841-go r., we wsi Dubowice pod Żytomierzem z ojca Piotra i Augustyny z Soroczyńskich, ks. Symon pobierał pierwsze wykształcenie w szkole szlacheckiej w Zwiahlu, którą chlubnie ukończył, że zaś już od wczesnych lat powziął zamiar poświęcenia się stanowi duchownemu, w r. 1856 wstąpił do seminaryum dyecezyalnego łucko-żytomierskiego, zkąd po trzech latach, jako wybitnie zdolny alumn, wysłany został do akademii duchownej w Petersburgu.

Ukończywszy studya akademickie ze stopniem kandydata św. Teologii, ks. Symon wysłany został kosztem akademii do Monachjum, gdzie wykłady historyi Kościoła, uczonego profesora uniwersytetu Döllingera, zgromadzały wówczas liczny zastęp uczonych oraz młodych adeptów wiedzy.

Pod koniec r. 1864-go widzimy już ks. Symona na katedrze profesorskiej, akademja duchowna bowiem w Petersburgu powołała byłego swego wychowańca, odznaczonego w r. 1864-ym przez fakultet teologiczny monachijski stopniem doktora św. Teologii, do grona kierowników najwyższego duchownego zakładu naukowego. Młody uczony wykładał w akademii duchownej, z początku jako adjunkt archeologię biblijną, teologię pasterską i obrzędy kościelne, pełniąc zarazem obowiązki prefekta alumnów, zaś w r. 1866-ym został profesorem zwyczajnym historyi Kościoła i prawa kanonicznego. Katedrę ostatnio wymienionych przedmiotów zamienił w r. 1870-ym na katedrę pisma św., której nie opuszczał do dzisiejszej chwili, jasnym i zajmującym wykładem budząc w słuchaczach szczególne zainteresowanie się przedmiotem.

Mianowany w r. 1874-ym kanonikiem honorowym mohilewskim, ks. dr. Symon został w roku następnym cenzorem ksiąg religijnych w archidyecezyi mohilewskiej i członkiem zarządu akademickiego, w r. 1876-ym zaś wstępuje do gremjum kapituły łucko-żytomierskiej jako kanonik, pełniąc zarazem czasowo obowiązki inspektora akademii.

Tę ostatnią opuszcza w r. 1877-ym i udaje się do dyecezyi żytomierskiej, w której seminaryum wykładał język grecki i teologię dogmatyczną. W r. 1883 promowany przez dzisiejszego arcybiskupa-metropolitę, a wówczas biskupa żytomierskiego, ks. Kozłowskiego, na prałata kapituły łucko żytomierskiej, zmuszony był już w roku następnym porzucić działalność w dyecezyi rodzinnej, w r. 1884-ym bowiem ukazem carskim mianowany został rektorem petersburskiej akademii duchownej.

Stojąc odtąd na czele tej instytucyi, ks. prałat Symon wykazywał na każdym kroku wybitne zalety zdolnego i nader pracowitego kierownika, który przy licznych obowiązkach, jakie wynikiem jego stanowiska być musiały, znajdował czas nie tylko na tłumaczenie wychowańcom akademii Pisma św., lecz, dbając nadzwyczaj o stronę naukową powierzonej jego pieczy akademii duchownej, obejmował na przemian, z chwilą gdy zawakowała którakolwiek z katedr, także katedry archeologii biblijnej, specyalnej dogmatyki, teologii pasterskiej i homiletyki.

Z prac naukowych ks. Symona, ogłoszonych drukiem, wymienić należy cenną historyę wileńskiego seminaryum głównego, historyę fakultetu teologicznego na uniwersytecie wileńskim, oraz akademii duchownej w Wilnie, aż do epoki przeniesienia tej instytucyi naukowej do Petersburga. Prace te ogłoszone zostały w języku łacińskim w rocznikach, wydawanych staraniem akademii duchownej w Petersburgu.

Od roku zeszłego mianowany przez Ojca św. prałatem domowym dworu papiezkiego, dzisiejszy biskup-sufragan archidyecezyi mohilewskiej odznaczał się zawsze w życiu surowem poszanowaniem praw kościelnych; o ile zaś był zawsze wyrozumiałym dla swych podwładnych, o tem świadczy miłość i poważanie, jakie dla Niego żywi liczny zastęp wychowańców akademii duchownej.

Zagadkowe produkcye.

Berlin 4 marca.

(:) W przepysznie przystrojonej sali tutejszego hotelu centralnego zebrało się wczoraj o godzinie 3ej po południu wyborowe grono: fizyków, fizyologów, assystentów fizykalno-technicznego zakładu państwowego, lekarzy, zwłaszcza takich, którzy oddają się leczeniu chorób nerwowych, literatów, członków tutejszej gminy spirytystów; także kilkanaście kobiet przyłączyło się do tego zajmującego towarzystwa męzkiego. Zeszli się oni tutaj na sesyę specyalną „wielkiego fenomenu z Anglii," pani Abbott, produkującej się obecnie w ogrodzie zimowym, „tej jedynej prawdziwie magnetycznej damy", jak ją w szumnych ogłoszeniach nazwano, przyczem podnoszono, że pani Abbott swoje zdumiewające produkcye wykonywa nie przez fizyczne natężenie mięśni, lecz wyłącznie skutkiem wewnętrznej tajemniczej siły, którą ona sama magnetyczną nazywa.

Mrs. Abbott pochodzi z Ameryki. Mąż jej a zarazem impressario opowiada, że żona jego w dzieciństwie już odkryła swój cudowny talent, a to w następujący sposób: W salonie siedziała cała rodzina przy stole. Naraz ojciec zadzwonił na służącą, a gdy nie przyszła zaraz, zadzwonił drugi i trzeci raz, również bezskutecznie jak pierwszy. Wtedy mała córeczka, dzisiejsza pani Abbott powstała, aby zapytać ojca, czego sobie życzy i zbliżyła się doń. Zaledwie jednak dotknęła go rączką, a już leżał ojciec z fotelem na ziemi, przewracając ze sobą stół i wszystko co na nim było. Ojciec zrozumiał od razu, że to ukryta w dziecku siła magnetyczna zrobiła to wszystko, nie gniewał się więc na swą córkę, owszem prosił ją, aby częściej pozwalała sobie takich figlów. W ten sposób powstał ten dzisiejszy fenomen.

Ta prawdziwie amerykańska historyjka wywarła swój skutek nawet w Ameryce, a chociaż wielu śmiało się z niej i nazywało ją humbugiem, mimo to wszyscy szli na produkcye małej dziewczyny, późniéj panny, dziś kobiety i pomogli jej zebrać kolosalny majątek. Z Ameryki pojechała pani Abbott zbierać laury w Anglii i Francyi i w dalszym pochodzie swoim zatrzymała się w Berlinie. Pierwsze produkcye jej w ogrodzie zimowym wprawiały wszystkich widzów w zdumienie, naukowy świat tutejszy jednak niedowierzająco potrząsał głową, a kilkudziesięciu profesorów i uczonych zaproponowało pani Abbott, aby dała jedno prywatne przedstawienie i aby, jeżeli jest rzeczywiście „cudowną kobietą magnetyczną", robiła to, co jej każą widzowie, wówczas uwierzą w jej magnetyczność. Pani Abbott i mąż jej zgodzili się na propozycyę i w ten sposób przyszło do skutku wczorajsze posiedzenie w hotelu centralnym.

Gdy sala się zapełniła, weszła pani Abbott, milutka, szczupła kobieta z wielkiemi błyszczącemi oczyma koloru siwego. Nic nie wskazuje u niej na jakąś nadzwyczajną, a choćby nawet tylko na zwyczajną siłę — chyba tylko ramiona nieproporcyonalnie grube i z muszkulaturą godną Herkulesa. Skoro tylko pojawiła się w sali powstał gwar, który przemienił się w końcu w małą kłótnię. Grono lekarzy i profesorów domagało się,

---

62)

GĄSIORKOWSKI

POWIEŚĆ

przez

W. Kosiakiewicza.

(Ciąg dalszy).

Ale to niewątpliwie jeszcze resztki tej marnej zazdrości rozdmuchują w Gąsiorkowskim do rozmiarów wad to, co zapewne jest zarodkiem zalet męzkich na przyszłość w kuzynku.

W każdym razie Gąsiorkowski ma najczystsze sumienie, że wsadził go do swojego banku. Chłopiec pracowity, sumienny, nie spóźnia się z przyjściem, nie spieszy z wyjściem i postępowaniem swojem nie naraża się nikomu.

Dyrektor nawet szepnął kiedyś Gąsiorkowskiemu:

— Zdaje się, że to będzie dobry urzędnik.

Gąsiorkowski opiekuje się Władkiem z troskliwością kury, pielęgnującej kurczę. Choć to nie jego wydział, zachodzi ciągle do biurka młodego chłopca, pomaga mu w każdym trudniejszym razie i wpaja w niego te zalety dobrej szkoły, które jego samego wyniosły na dosyć wybitne stanowisko.

Po za biurem żyją z sobą, jak dwaj przyjaciele, jak starszy brat z młodszym bratem. Władek bywa częstym gościem w domu Gąsiorkowskiego, rozmawiają długiemi godzinami, odbywają razem spacery.

— Zapewnia im szczęście — postanowił Gąsiorkowski, przekonawszy się ostatecznie, że młodzi mają się ku sobie. — O! bo to nie ulega wątpliwości... Zosia jest z Władkiem tak wesołą, tak śmiałą, a on — szelma — pozwala już sobie na całowanie jej rączek białych pod pozorem kuzynowstwa... Tak, tak, rzecz wątpliwości nie ulega...

Nie krępuje się więc Gąsiorkowski teraz niedzielą, lecz, oparty na czystych i uczciwych zamiarach, bywa częściej, jak mu tam wypadnie i siedzi dłużej, dopóki się tak składa. Wznowił dawne spacery we czwórkę — do Łazienek... Mój Boże, gdzie te czasy, kiedy, jak idyota, prowadził pod rękę mamę Balską, chcąc dostać się do serca Florci, idącej naprzód z Jasiem, albo Kazi, którą prowadził Rozprzycki... Dziś także prowadzi mamę Balską—ale zmieniły się okoliczności, zmieniły się jego plany. Czyni to z poświęciem prawie ojcowskiem, wyrzeka się sam rozkoszy dotknięcia tego ramienia drogiego, pracuje dla jej dobra, dla jej szczęścia...

Dawniej mama Balska mogła tylko z Gąsiorkowskim iść pod rękę, ani Jasio, ani Rozprzycki nie umieli zastosować się do jej chodu. Dziś także idzie z Gąsiorkowskim, mimo to, że kuzynek Władzio — potwarza to ciągle — doskonale się do jej chodu potrafi zastosować.

— My sobie, starsi, razem — mówi Gąsiorkowski w chwilach, kiedy układają się pary.

I bierze mamę Balską pod rękę, nawet wtedy, kiedy Zosia (złote, poczciwe, brylantowe serce! niech jej za to Bóg różami życie uściele) okazuje widoczną chęć (chcć niewątpliwie, robiąc małą ofiarę) pójść pod rękę z Gąsiorkowskim..

A zmieniła się Zosia widocznie, odkąd kuzynek zaczął się umizgać do niej... Gąsiorkowski widzi tę korzystną w niej zmianę doskonale, niezawodnie, bo teraz, ob wiać się niczego nie potrzebując, bywa częściej, przy Zosi siada śmielej, nie liczy wystraszoną myślą minut, „nad przepaścią" (jakby powiedział dawniej) spędzonych... Więc ma możność obserwowania dokładnego i obserwacya ta umacnia go zarówno w jego dumie własnej obserwatora, jakoteż i w poświęceniu (nota bene jeżeli to, co czyni, jest poświęceniem, a nie prostym, zwyczajnym „psim" obowiązkiem).

Przytem za spełnienie tego obowiązku on sam bierze odrazu hojną nagrodę w postaci rozkoszy nieopisanych... Zosia widocznie nabiera ku niemu coraz więcej dawnego zaufania, coraz weselej go wita, coraz serdeczniejszą jest, otwartszą. Żartuje nawet z niedawnego „nieporozumienia," bo ona tak to nazywa, i zapowiada mu rozkosznie, a nakazująco:

— Żeby mi to nigdy nie wróciło, niech pan pamięta, panie Gąsiorkowski.

Rozmawiają i o kuzynku oczywiście.

I Zosia, i mama Balska wiedzą dobrze, iż Władek wkradł się w nadzwyczajny sposób w łaski Gąsiorkowskiego, wiedzą, że teraz lubi nad wyraz młodego chłopca, obie więc, aby mu sprawić przyjemność, chwalą ciągle kuzynka...

Gąsiorkowski liczy i waży pochwały, jakie z ust Zosi padną dla Władka... Usiłuje odgadnąć z nich, czy już wyznali sobie uczucie, czy jeszcze. ale nie może się jakoś pomiarkować. Oczywiście mówić o takich rzeczach nie można.... Domyśla się tylko, iż rzeczy te muszą być na jak najlepszej drodze, bo, ile razy przyjdzie, zastaje Zosię, zawsze wesołą, trzpiotowatą prawie.....

I nietylko trzpiotowata, nietylko wesoła.... Bo oto nagle ni ztąd, ni z owąd poważnieje, głos jej nabiera dźwięku takiego serdecznego, a oczy jej patrzą na Gąsiorkowskiego z taką pełnią wymowy, przyjaźni, zaufania i wdzięczności... że niepodobna się omylić.. Ona rozumie, że Gąsiorkowski wyrobił posadę Władkowi dla tego, aby oni mogli się pobrać, aby ułatwić im.. zbliżyć... dać po prostu szczęście...

I pod wpływem tych spojrzeń i tego głosu dusza Gąsiorkowskiego rozpływa się w takiej błogości, jakiej tylko wybrane istoty doznawać mogą. Ciągnie go coś ku jej nóżkom, do których chciałby usta przyłożyć, u których pragnąłby, raz jeden choć, serdecznie z szlochać i powiedzieć na klęczkach:

— Czy jest co, czegobym nie uczynił dla twojego szczęścia, aniele?

Wychodził teraz zawsze z domu Balskich, roztopiony w szczęśliwości, myśląc sobie:

— Ileż rozkoszy daje poświęcenie!

I raz nawet, gdy żegnać mu się z Zosią przyszło po takich chwilach, pełnych serdeczności, uniósł jej rączkę do ust swoich i w gorącym pocałunku wypowiedział jej, ile gotów jest uczynić dla jej szczęścia.

Nie sprawiło mu to niepokoju żadnego.

— To i cóż z tego, — pomyślał sobie, — że dowie się, iż ją kocham.. Mogła już dawniej tego się domyślać z mojego postępowania...

Zresztą ona go nie potępi, ona go zrozumie i współczuciem wytłomaczy, a przyjaźnią wynagrodzi... Ona go zna, ona wie, że niezdolnym on jest do upominania się, do wymagania rzeczy niemożliwych... Ona wie, że on poprzestanie na „swojej części", że wystarczą mu jej szacunek i przyjaźń, i że jej szczęście stanie się przez to samo jego szczęściem...

Jednak w głębi sumienia nie był pewnym: czy nie za śmiało postąpił? czy nie zbyt natrętnie narzucił jej to dotknięcie ustami białej, cudnej rączki..

To też szedł po paru dniach do Balskich z niepokojem w sercu, obawiając się, że Zosia (choć jej serce mu wybaczy to natręctwo) skarze go jednak spojrzeniem lekkiej wymówki. Przygotowany już był z pokorą to przyjąć....

Ale Zosia widocznie innemi zaprzątnięta była myślami, — a nie tam o nim...

Powitała go oczami błyszczącemi, uściskiem dłoni silniejszym, niż zwykle.. Widocznie o pocałunku tym ani już pamiętała, widocznie zaszło coś w życiu jej radosnego, co to wspomnienie, — jeżeli nawet i było przykre, — w zupełności zatarło i pokryło.

To niewątpliwe.. Gąsiorkowski się nie myli... to już nie radość bije z twarzy — to łuna — szczęścia.

A jaka ona dziś piękna z temi oczami, które zdają się nic nie widzieć.. Z jakim wdziękiem podbiega do matki po to, aby ją bez racyi żadnej uściskać... Rozkosz rozsiewa w okół z taką szczodrobliwością, jak słońce w dzień sierpniowy promienie leje światła, — bez umiarkowania, bez litości...

Gąsiorkowski wzruszony pozwala sobie na ostrożne zapytanie:

— Co to się pani stało?

Zosia spogląda mu w oczy, w samą głębię oczu i powiada z uśmiechem, kładąc rączkę na piersi:

— Dobrze mi jest, panie Gąsiorkowski...

(Ciąg dalszy nastąpi).

aby pani Abbott od razu robiła to, co oni jej każą, małżonek zaś jej i impressario tłumaczył, że żona musi najprzód wykonać swój program. Ostatecznie stanęła ugoda, że pani Abbott wykona najprzód swój program, a na końcu wykonywać będzie to, co jej rozkażą panowie uczeni.

Pierwszy punkt programu był następujący: Pewien pan, znany powszechnie w Berlinie ze swej atletycznej siły, wziął krzesło, objął je obiema rękami i przycisnął do piersi. Pani Abbott zapowiedziała, że lekkiem dotknięciem ręki zmusi tego pana do ustąpienia na bok. Jakoż rzeczywiście, skoro tylko dotknęła jego ręki, musiał ustąpić, pomimo iż widocznie się wysilał, aby ustać na miejscu. Ten sam eksperyment powtórzyła pani Abbott, gdy dwaj panowie krzesło trzymali. Widziano wprawdzie, że dotykając ręki jednego z tych panów, dotknęła pani Abbott małym palcem także krzesła, i podejrzywano ją z tego powodu o jakiś fortel, jednakże czyż jest możliwy fortel gimnastyczny tego rodzaju, aby w mały palec przełożyć tyle siły, żeby dwóch silnych mężczyzn ustać się nie mogło?

Następnie wzięła pani Abbott kij bilardowy, podniosła jedną nogę i poprosiła jednego z panów, aby ujął za drugi koniec kija i przyciągnął ją stojącą na jednej nodze ku sobie. Aż oczy krwią zabiegły biedakowi tak silnie ciągnął, nie udało mu się jednak wyruszyć pani Abbott ani na włos z zajętej pozycyi. Ciągnęło potem kij ten dwóch, trzech, czterech panów i nic nie poradzili — wątła kobieta stała niewzruszona na jednej nodze, nie przegiąwszy ciała naprzód, jak to robi mimowoli każdy, chcący odeprzeć napierającą nań siłę, lecz przeciwnie wygięła się trochę w tył. W sali dały się słyszeć krytyki profesorów. Jeden z nich mówił: Cała rzecz polega w tem, że pani Abbott studyowała dokładnie naukę o rozdziale siły w dźwigni, wie przeto z góry, w którem miejscu ma ująć kij, aby jej siła, skoncentrowana w tym punkcie, mogła sparaliżować siłę czterech ludzi. Drugi odparł mu na to: Tak, ale w takim razie musiałoby być u niej widoczne natężenie sił, tymczasem nie widać go, popatrz pan, że nawet się nie zarumieniła.

Kilkunastu widzów zrobiło to spostrzeżenie, iż podczas tej produkcyi muszkuły w ramionach pani Abbott zastrasznie napęczniały. Jakiemuś fizyologowi nie podobało się to i wyrozumował, że skoro pani Abbott, jak zapewnia, sile „magnetycznej" wszystko zawdzięcza, to nie powinna się natężać, lecz do sparaliżowania siły czterech ludzi powinna jej wystarczyć taka siła, jaka potrzebna jest do podniesienia ćwiartki papieru. Bardzo pięknie wypadł następny numer programu. Wiadomo, że każdy może zrobić się tak ciężkim, iż kto z tyłu ujmie go za łokcie i zechce w górę podnieść, nie potrafi tego uskutecznić. Potrzeba tylko górną część ramienia posunąć naprzód, a dolną cofnąć w tył i trochę podnieść do góry — a waga ciała wydaje się być co najmniej podwójną. Pani Abbott nie używa tego fortelu, lecz trzyma ramiona równolegle do ciała i każdy podnosi ją lekko jak piórko, jeżeli między obnażonemi łokciami pani Abbott a rękami podnoszącego, przeciągnięta jest chusteczka jedwabna. W ten sposób bowiem, jak zapewnia mąż pani Abbott, przerwany jest kontakt magnetyczny. Naraz usunięto chusteczkę i żadna siła nie mogła pani Abbott ani na cal do góry podnieść. Kilku z widzów odezwało się, że pani Abbott musi w trzewikach mieć jakiś przyrząd techniczny, który dowolnie w ruch puszczać i zatrzymywać może. Zdjęła więc trzewiki i w cienkich pończoszkach tylko stanęła na podłodze, a rezultat był ten sam: ilekroć była chusteczka jedwabna, podnosił ją każdy z łatwością, a skoro ją usunięto, była pani Abbott jakby przyrośnięta do podłogi.

Ktoś wystąpił z zarzutem, że pani Abbott ma fortel tak energicznego wpierania się w podłogę, że może wagę ciała swego zwiększyć w nieskończoność. I ten zarzut został świetnie odparty. Pani Abbott stanęła na krześle, a dwóch panów podniosło ją, każdy za jedno ramię. Oczywiście między rękami panów a łokciami pani Abbott znajdowała się chusteczka jedwabna. Usunięto krzesło i pani Abbott bujała swobodnie w powietrzu. Teraz usunięto chusteczkę jedwabną i pomimo najgwałtowniejszego wysiłku nie mogli obaj panowie nietylko pani Abbott w górę, lecz nawet utrzymać jej w powietrzu. Z niesłychanym ciężarem opadało ciało ku podłodze i zatrzymało się na niej jakby wrośnięte.

Także inne eksperymenta udały się bardzo dobrze.

I tak wyciągnęła rękę dłonią na dół, do tej dłoni przyłożono długi kij drewniany i puszczono go. Owóż w naturalnych warunkach kij ten powinien był upaść, tymczasem trzymał się on tak mocno tej dłoni, jak gdyby przyśrubowany, kilku panów próbowało oderwać go od dłoni, lecz wszelkie usiłowania okazały się bezskutecznemi. W końcu podniosła pani Abbott do góry krzesło, na którem siedziało pięciu panów, jeden na kolanach drugiego. Także i przy tej produkcyi nie było widać u pani Abbott natężenia fizycznego.

Na tem zakończył się program. Profesorowie i lekarze domagali się teraz natarczywie, aby pani Abbott dotrzymała umowy i wykonała teraz takie eksperymenta, jakie oni wykonać jej każą, jednakże mąż oświadczył, że to jest rzeczą niemożliwą, gdyż mrs. Abbott jest bardzo zmęczona. W złym humorze i rozczarowani opuścili panowie uczeni salę, zachwyceni byli tylko spirytyści. A reszta towarzystwa? Z niedowierzaniem przyszła i z niedowierzaniem odeszła, jakkolwiek zdumiona była tem co widziała.

Mały Fejleton.

Fantazya Moltkiego.

Przed laty żył we Włoszech człowiek, który już w młodości zasłynął z odstraszającej brzydoty. Długie kruczo włosy zwieszały się w nieładzie nad jego twarzą żółto bladej cery. Oblicze przypominało krater wygasłego wulkanu, a wargi ... Wtedy wyraz twarzy stawał się dzikim, a błyskawice czarnych oczu zdradzały płomień tlejący pod śnieżną powłoką. Taki człowiek nie urodził się, żeby życie pędzić szczęśliwie. Mężczyźni nienawidzili go, kobiety pogardzały, i żył opuszczony — sam jeden na całym świecie bożym.

Każdego człowieka opatrzność obdarza jakąś zdolnością, wynagradzającą brak innych, więc i Pietro miał dar do muzyki. W pokoiku swym, w Rawennie nocami całemi wygrywał smutne melodye.

Pewnej nocy otworzył okno zaklejone papierem i improwizował na skrzypcach, patrząc w zadumie na niebo zasiane gwiazdami, z których żadna w życiu nigdy nie błysnęła mu łaskawiej. Nagle w pobliżu rozległy się ciche oklaski. To jego sąsiadka Ancella, oczarowana grą, nie mogła powstrzymać się od tych oznak zachwytu. To samo powtórzyło się następnych wieczorów I wkrótce Pietro zapałał gorącą miłością do młodej, pięknej i bogatej dziewczyny, i nietylko jego skrzypce, lecz i dźwięczny głos stały się tłómaczami tego uczucia. Stosunki zawiązały się między niemi, lecz Ancella do tej pory słyszała go tylko, a on drżał na myśl co się stanie, gdy go ujrzy.

Ktoś słusznie zauważył, iż serce mężczyzn ulega wpływowi wzroku, nad kobietami zwycięztwo odnosi się za pomocą słuchu.

Ancella kochała go i byłaby kochała, choćby sto razy był brzydszym. Ale Włoch nie wierzył w to i w miarę jak wzrastała jego miłość, jednocześnie potęgowała się w duszy rozpacz. Przestał ufać wszystkim, nawet sobie samemu, męczył podejrzeniami ukochaną i im więcej ją ubóstwiał, tem bardziej dręczył. Jej łzy, skargi, zapewnienia, wyrzuty, były dla niego tylko dowodami winy i gdy zdawało mu się, że zdrada kochanki jest już dowiedzioną, wtedy czuł się tak bezgranicznie nieszczęśliwym, że usiłował wierzyć jej przysięgom, żeby nie umrzeć z rozpaczy.

Nie wiem, jakie zdarzenie rzuciło w nieszczęsną chwil ęcień na jej wierność, dość, że Ancellę znaleziono z piersią przebitą sztyletem, a Pietro oddał się sam w ręce sądu, pragnąc skończyć raz z życiem, które stało się dlań ciężarem.

Tak pomyślnie nie skończyło się jednak, jak sobie układał. Zesłano go na galery, a że do ciężkich robót był za słabym, zamknięto w samotnej celi więziennej

Noc zapadła. Postacie upiorów wynurzać się zaczęły z pod obłoków sklepień. Cisnęły się do jego legowiska na słomie i groziły zakrwawionemi szpony. Wydał krzyk straszny, lecz nikt go nie usłyszał. Towarzystwo ostatniego nędzarza, psa nawet, byłoby dla niego dobrodziejstwem w tej chwili. Nagle przypomniał sobie — pozostały mu jeszcze skrzypce! Chwycił je gorączkowo i zaledwie poruszył struny, zabrzmiały dźwięki, skargi pełne i wyrzutów, to znów dziwnie łagodne i słodkie, jak słowa ukojenia i pociechy. W tych tonach słyszał głos Ancelli który go tyle razy uspokajał i czarował, jej łkania i szepty miłośne. Zdało mu się, iż część winy przez straszne męczarnie, jakie cierpiał, odkupiona została, że Ancella jest znów przy nim, mówi do niego i przebaczyć obiecuje. Nagle pękła struna, po niej druga i trzecia. Ostry dźwięk skargi odbił się od zimnych murów więzienia — to ostatni jęk mordowanej! Biedny samotnik upadł wyczerpany na barłóg bez zmysłów.

Nazajutrz więzień pobiegł do odźwiernego i prosił natarczywie o trzy struny do skrzypiec. Prośba była daremną, bo więzień nie miał nic do ofiarowania wzamian za jej spełnienie. Ze smutkiem oglądał swój instrument. Pozostała jeszcze tylko struna G. Ona to właśnie wydaje te dźwięki altowe, przypominające głos ukochanej. Przez dzień cały więzień siedzi bez ruchu, zapatrzony w przestrzeń, lecz gdy noc nadejdzie, chwyta za skrzypce i na ostatniej strunie wygrywa czarowne melodye. Wtedy to powstała urocza muzyka do pieśni:

„Szczęście, co raz w życiu zawitało,
Zostało cierniem w mej piersi".

I grywał tak przez lat dziesięć. Doszedł do niesłychanej wprawy na swym instrumencie o jednej strunie i gdy z ciemnych murów więzienia wyszedł znów na słoneczny świat Boży, był wielkim artystą. Zmienił nazwisko i pojechał w dalekie strony. Długo wzdragał się grać przed tłumem, bo tony skrzypiec, wyraźniej od słów zdradzały tajemnice jego duszy. W końcu bieda zmusiła go do ustępstw dla mamony i wnet nazwisko Paganiniego stało się głośnem w świecie. Tysiączne tłumy spieszyły do wyzłoconych sal oper, by przysłuchać się grze niezwykłego cudzoziemca. On stał blady jak trup, bezwładny, dopóki nie ożywił go pierwszy dźwięk strun. Obojętnie przyjmował entuzyastyczny poklask tłumów i zaledwie przebrzmiały ostatnie tony, stawał się znów obojętnym i zamkniętym w sobie. On, któremu hołdy składali wszyscy, uciekał od ludzi i w samotności liczył swe miliony, które nie sprawiały mu zadowolnienia. Może miał ich za mało? Czasami wbiegał do sali gry i tracił olbrzymie sumy, nie doznając żadnych wrażeń, któremi byłby w stanie zapełnić pustkę życia. Tylko skrzypce były mu jedyną pociechą.

Dziś jego melodye już przebrzmiały, pierś wydała ostatnie tchnienie, a zwłoki spoczęły w nieznanym zakątku. Pozostały po nim tylko skrzypce, w które zaklęta po dziś dzień skarży się dusza biednej Amelii.

* * *

Historya Paganiniego, opowiedziana w sposób tak prosty i rzewny, ciekawą jest i ze względu na osobę autora, którym jest... feldmarszałek hrabia von Moltke.

Wieczorem w dniu 1 grudnia 1841 r. powróciwszy z koncertu niejakiego Sciorego, ucznia Paganiniego i spadkobiercy jego skrzypiec, hr. Moltke skreślił przytoczone opowiadanie w liście do swej narzeczonej, późniejszej małżonki. Wielki strategik ukazuje się w nim w niezwykłym charakterze poetyzującego romantyka.

Demoniczną muzykę i ekscentryczne usposobienie Paganiniego starano się niejednokrotnie wytłómaczyć za pomocą niezwykłych historyj jakoby poczerpniętych z dziejów jego życia. Nieprawdopodobnych i fantastycznych wersyj krążyło też ciągle niemało o wielkim artyście

Tym razem hr. Moltke czuł pewien wyrzut sumienia z powodu powyższej improwizacyi, jak to okazuje się z następnego listu do narzeczonej, w którym pisze: „Opowiadania mego o Paganinim proszę nikomu nie powtarzać, spadkobiercy jego bowiem mogliby słuszną mieć do mnie pretensyę."

Z powodu śmierci
Pawła Popiela.

Pod Caudium, kiedy wodzów Romy
Pod jarzmo hańby wlokło przeznaczenie:
W oczach żołnierstwa migotały gromy,
Rzucane wrogom za ojców zelżenie.

Gdy pod Kannami rzymskie legły wojska,
Konsul do Romy wszedł na śmierć gotowy.
Choć wszystkich serca przejmowała troska,
Lud go powitał uprzejmemi słowy.

Odgadniesz łatwo, że naród kwirytów
Za tyle cnoty i tyle zniewagi,
Zdepce niebawem zawziętych Samnitów,
Zaorze pługiem ruiny Kartagi.

Gdy potem Sule, Maryusze, Cynny,
Żądzą krwi bratniej zapaliły tłumy,
Spodliły dzielne Romulusa syny,
Zbrudziły serca, skrzywiły rozumy.

Gdy Katyliny rzeź, mordy, pożogi,
Wskazują tłumom jako wyjście z toni,
I jako owe do postępu drogi,
A Cezar Cezar! w senacie ich broni.

Jako poganin swojej krwi potokiem
Cato mógł wskazać, że Ojczyzna ginie,
Przeklął potomstwo już gasnącym wzrokiem,
Co będzie żyło na Rzymu ruinie.

Lecz kto Chrystusa znamię miał na sobie,
Był pod Caudium, walczył pod Cannami,
A potem słyszał na Ojczyzny grobie
Katylinarskie wycia ze śmiechami:

Powiedz mi, bracie, wszak masz ludzkie serce,
Co chcesz w nim widzieć? Catona mordercę,
Czy Katynę, co tłumami włada,
Z serca i miłość i rozum wykrada?..

Czylibyś olał starego Popiela,
Co wszystkich sercem, rozumem obdziela,
A w górę podniósł krzyż Chrystusa Pana
I woła: „Bracia! w krzyżu obiecana
„Wolność narodom, w nim Polska nie zginie,
„Bo słowo Boże nigdy nie przeminie."

Ach! milczysz, bracie, a mnie serce boli,
Że tak już mało u nas dobrej woli.

S. M.

Kronika.

Lwów 10 marca.

Dar. Pogorzelcom gminy Głęboka, w pow. samborskim, darował Cesarz 100 złr.

Dygnitaze i posłowie, którzy wyjechali przedwczoraj ze Lwowa do Krakowa na pogrzeb śp. Pawła Popiela, wrócili dziś rannym pociągiem.

Pogrzeb śp. Pawła Popiela. Z Krakowa piszą nam: Pogrzeb śp. Pawła Popiela rozpoczął się o godzinie 9tej. Gdy czarną dębową trumnę najbliżsi przyjaciele śp. zmarłego wzięli na swe barki i wynieśli na próg domu, wtedy na mownicę ustawioną na przeciwnej stronie ulicy, wstąpił marszałek krajowy JE. Eustachy ks. Sanguszko, ubrany w żałobny strój polski, i pożegnał zmarłego w imieniu kraju. (Mowę tę podaliśmy wczoraj w telegramach; przyp. Red.)

Po mowie ruszył olbrzymi kondukt do kościoła N. P. Maryi. Kondukt prowadził ksiądz biskup Pazyna, a otwierały go bractwa kościelne tak z Ruszczy przybyłe, jak tutejsze; potem szedł orszak duchowieństwa zakonnego i świeckiego, nie tylko miejscowego, ale i z prowincyi przybyłego. Zamykała go zaś zebrana w komplecie kapituła katedralna krakowska.

Trumnę przez całą drogę nieśli na swych barkach, zmieniając się kolejno, przyjaciele i znajomi śp. zmarłego. Za trumną szła liczna rodzina i spokrewnione z nią rody, Namiestnik hr. Badeni, Marszałek książę Sanguszko z licznem gronem posłów sejmowych, komenderujący lwowski ks. Windischgrätz z żoną, komendant krakowskiego korpusu jen. Krieghammer, jenerał Geldern, dr. Biliński, dr. Bobrzyński, Rada miejska *in corpore*, członkowie Akademii Um., profesorowie Uniw. Jagiell., mistrz Matejko, prezes Koła liter.-artyst. p. Kossak, prezes Koła nauczycieli szkół wyższych dr. Henryk Jordan, mnóstwo deputacyj, przedstawiciele władz rządowych, autonomicznych i wojskowych i długi szereg przedstawicieli najznakomitszych rodów w Polsce.

Cechy z chorągwiami tworzyły szpaler obok trumny. Wśród bicia dzwonów przez szpaler nieprzejrzanego tłumu publiczności, który pokrywał cały Rynek, wstępował orszak w mury kościoła N. P. Maryi, tego kościoła, którego tyle pamiątek ś. p. Paweł Popiel uratował i uchronił od zniszczenia, a którego restauracyi ostatnie lata życia swojego poświęcił. — W presbyteryum ustawiono katafalk, oświetlony rzęsiście i otoczony krzewami i na nim złożono trumnę. Samę żałobną celebrował ksiądz kardynał Dunajewski w asystencyi księdza kanonika Centta; przy bocznych ołtarzach odprawiały się równocześnie Msze święte; dostojny celebrans odprawił też następnie egzekwie, a potem odprowadził zwłoki do bramy kościoła i pobłogosławił na drogę do grobów rodzinnych w Ruszczy.

Teraz kondukt, w takim samym jak przedtem porządku, prowadzony przez księdza biskupa Pazynę, ruszył przez ulicę Floryańską do rogatek miasta. Przy rogatce Mogilskiej objął prowadzenie konduktu ks. kanonik Schwarc z Ruszczy i odprowadził zwłoki do kościoła parafialnego w Ruszczy, gdzie złożone zostały na wieczny spoczynek.

Nad grobem przemówił jeszcze prof. K. Morawski.

Ze sfer adwokackich. Adwokat dr. Władysław Junosza Salerzycki przesiedlił się z Przemyśla do Grybowa.

Jubileusz Czytelni akademickiej. Wczoraj pod przewodnictwem prof. dra Romana Pilata odbyło się posiedzenie obszerniejszego komitetu jubileuszowego. Po długich rozprawach trwających od godziny 7 do pół do 11tej, uchwalono na wniosek dra Skałkowskiego dla upamiętnienia 25-tej rocznicy założenia Czytelni zbierać między dawnymi jej członkami składki na powiększenie funduszu żelaznego Czytelni, który może być użyty na budowę osobnego domu dla Czytelni. — Dalszy ciąg obrad komitetu odbędzie się w sobotę dnia 12 bm o godzinie 7mej wieczorem na Uniwersytecie

Czytelnia dla kobiet Na usilną prośbę wydziału, powtórzy pan profesor Majewski w sobotę 12 bm. swój odczyt: „O dworze Ludwika XIVgo" dla członków Czytelni.

Tow. wzaj. pom. kapłanów obrz. łac. i orm., zawiązane w roku zeszłym we Lwowie pod wezwaniem N. P. Maryi Śnieżnej, rozwija się nader pomyślnie, co jest dowodem, że Towarzystwo takie ma racyę bytu i odpowiada oddawna odczuwanym potrzebom.— Towarzystwo to z końcem roku zeszłego liczyło 139 członków rzeczywistych z 274 udziałami, tj. 1370 zł. wkładek, mianowicie z dyecezyi lwowskiej 116 członków, krakowskiej 11, a tarnowskiej 2. Dochody po koniec roku wynosiły 2368 zł. 61 ct., rozchody 222 zł. 75 ct. Pozostało przeto w kasie 2145 zł. 86 ct.— Z kwoty powyższej zakupiono dwa listy zastawne galic. Tow. kred. ziemskiego, które zastrzeżono na rzecz Towarzystwa; reszta gotówki pozostała w kasie podręcznej.

Prezesem centralnego wydziału Towarzysstwa jest ks. St. Korzeniowski, proboszcz parafii Najśw. Panny Maryi Śnieżnej we Lwowie; zastępcą ks. Jan Mardyrosiewicz, kanonik kap. metrop. obrz. orm., a sekretarzem ks. Józef Boczar. — Biuro wydziału jest przy ulicy Śnieżnej pod l. 2.

Do „Sokołów"! Od Komitetu urządzającego jubileusz „Sokoła", otrzymujemy następującą odezwę:

Bracia „Sokoły"!

Zbliża się droga nam wszystkim uroczystość jubileuszowa. W szerokim jej programie mieści się też jak wiadomo, wydawnictwo „Księgi pamiątkowej". *Przewodnik gimnastyczny* wyliczył już szczegółowo wszystkie działy tej publikacyi, która przedstawi całkowity, o ile możności, obraz ruchu gimnastycznego u nas, oraz pokrewnych mu na polu hygieny i pielęgnowania zdrowia młodzieży, usiłowań — Dziś zwracamy tylko uwagę waszą na dział V-ty „Księgi pamiątkowej" obejmującej „fejleton". Pragnęlibyśmy tu zgromadzić: wspomnienia, wypadki ważniejsze, opisy rocznic, poezye, utwory muzyczne, pieśni i rysunki do „sokolstwa" naszego odnoszące się i jego ideą natchnione. Im prac tych więcej, tem rzecz pełniejsza i poważniejsza, zadaniu swemu bardziej odpowiadająca! Do pióra więc bracia „Sokoły" — niech je prowadzi wspólny nam cel: „Sokoła" polskiego dobro, godne uczczenie jego czerwcowego święta!

Termin nadsyłania utworów: dnia 15go kwietnia r. b.

Rękopisy należy przesyłać do Wydziału Towarzystwa „Sokoła" we Lwowie, (ulica Zimorowicza), albo na ręce p. Platona Kosteckiego, redaktora *Gazety Narodowej*.

Platon Kostecki, przewodniczący sekcyi wydawniczej.

Tadeusz Czapelski, sekretarz.

Uprasza się uprzejmie wszystkie pisma o powtórzenie słów niniejszych.

Z Zakopanego donoszą: W ubiegłym roku zatwierdziło Namiestnictwo statuta nowego stowarzyszenia pod nazwą: „Dom zdrowia dla kapłanów w Zakopanem". Celem tego Towarzystwa jest wysyłanie chorych kapłanów do stacyi klimatycznej w Zakopanem. W tym jeszcze roku zamierza ono wybudować obszerny zakład, kaplicę, domy mieszkalne, łazienki i t. d., a ma nadzieję, że to uskuteczni gdyż księża bardzo licznie wstępują jako członkowie założyciele z wkładką 100 zł., lub dożywotni z wkładką 50 zł., albo też jako zwyczajni, płacący 4 zł. rocznie. Stowarzyszeniu przewodniczy obecny rektor uniwersytetu i poseł do Rady państwa, ks. dr. prałat Chotkowski. Walne zgromadzenie tego Towarzystwa odbędzie się w Krakowie we czwartek dnia 10 marca o godzinie 4 po południu w nowym gmachu Uniwersytetu w sali III na dole.

W Czytelni kolejowej (ulica Gródecka l. 26), odbędzie się dnia 13 b. m. wieczorek muzykalno-wokalny z odczytem prezesa Czytelni dra Maryana Ciesielskiego na temat: „Czy ruch pociągów kolejowych narażony jest na niebezpieczeństwo, gdy maszynista zamiast stać, kieruje lokomotywą siedząc?"

Towarzystwo politechniczne odbyło wczoraj walne zgromadzenie pod przewodnictwem rektora politechniki p. Frankego, który zagaiwszy obrady, postawił imieniem zarządu wniosek mianowania dra Antoniego Małeckiego członkiem honorowym Towarzystwa. Wniosek ten przyjęto przez aklamacyę.

Na wniosek p. inżyniera W. Dzieślewskiego uchwalono udać się bezzwłocznie do Sejmu z prośbą o uzupełnienie ustawy, nadającej technikom prawo wyborcze z tytułu osobistej kwalifikacyi, a mianowicie, by prawo to rozszerzone było także na wybory do Rady gminnej we Lwowie i Krakowie.

Długa dyskusya rozwinęła się nad sprawą „Czasopisma politechnicznego". Rozmaici mówcy domagali się, aby pismo to rozszerzono i lepiej honorowano współpracowników. Ponieważ ulepszenia te pochłonęłyby większe, niż dotąd kwoty, przeto postawił p. Ramult wniosek, aby zarząd prosił Sejm o subwencyę na wydawnictwo „Czasopisma". Wniosek ten jednak upadł.

Po uchwaleniu absolutoryum i podziękowaniu zarządowi, przystąpiono do wyborów zarządu. Prezesem wybrano p. Jana Frackego, profesora szkoły politechnicznej, 40 głosami na 76 głosujących. Baron Gostkowski otrzymał głosów 35. Zastępcą prezesa p. Hochbergera Juliusza, dyrektora miejskiego urzędu budowniczego, który otrzymał 68 głosów. Do zarządu weszli: Blauth Jan, inżynier Wydziału krajowego, Długoszowski Bolesław, inżynier cywilny, dr. Dziwiński Placyd, profesor szkoły politechnicznej, Pindelski Piotr, inżynier namiestnictwa, Przetocki Wacław, inspektor salinarny, Rawski Wincenty, architekt cywilny, Sołtyński Aug. inżynier kolei państwowej, Szeliga-Łyszkiewicz, właściciel fabryki, Zazula Albin, inżynier kolei państw. Członkami komisyi lustracyj. wybrani pp.: Baranowski Teofil inżynier Wydziału krajowego, Kasprzycki Piotr, inżynier kolei państwowej, Krupka Włodzimierz, inżynier kolei państwowej. Sikorski Tadeusz, inżynier Wydziału krajowego, Tuszyński Józef, starszy inżynier kolei państwowej

Po uchwaleniu budżetu na rok 1892, o godzinie $9\frac{1}{2}$ odroczono posiedzenie. Dalszy ciąg odbędzie się w środę

Do egzaminu kwalifikacyjnego na nauczycieli szkół ludowych zgłosiło się 6 kandydatów i 11 kandydatek. Wynik egzaminu był następujący: patent na nauczycieli otrzymali pp.: Stefan Arbesbauer, (z odzn.), Bazyli Czuma, Nestor Koronczewski, Michał Sozański (z odzn.), Kazimierz Szufel i Rafał Rothstein, na nauczycielki panie: Marya Baranowska, Michalina Bokszówna (z odzn.), Jadwiga Ekertówna, Marya Kliszówna (z odzn.), Stefania Lindnerówna, Józefa Łozińska, Julia Zaleska, Ludwika Bednarska, Helena Herzówna (z odzn.), Neuwirthówna Emilia.

Nadto otrzymała uzdolnienie do uczenia języka niemieckiego, jako przedmiotu w szkołach ludowych pospolitych z językiem wykładowym polskim i ruskim Katarzyna Iglarska.

Egzamin kwalifikacyjny wobec komisyi egzaminacyjnej dla szkół ludowych w Stanisławowie złożyli: dla szkół jednoklasowych (wiejskich) Babij Teodor, Henryk Boguniewicz, Włodzimierz Hrycyszyn, Jan Jaskułowski i Bazyli Pasieczniak, — dla szkół więcej klasowych (miejskich) Jakimowski Maryan (z odzn.), Winiarski Mir. (z odzn.) — egzamin uzupełniający z języka niemieckiego: Bojczeniuk Mikołaj, Donnersberg Kazimierz (z odzn.), Gottfried Rudolf Karol (z odzn.) i Pelwiecki Damian (z odznaczeniem).

Z Buczacza nam piszą: „Dnia 6-go b. m. zgasła żona powszechnie tu szanowanego starosty, pani Anna Schattowa. Chociaż nie oddawna zamieszkała w Buczaczu, zjednała sobie nieboszczka powszechną sympatyę. Dla biednych była prawdziwie matką, toteż za jej trumną oprócz inteligencyi buczackiej postępywały tłumy ubogiej ludności. W pogrzebie wzięło także udział wiele obywatelstwa okolicznego, cała Rada powiatowa z Marszałkiem i urzędnicy starostwa i sądu.

Stolarze chrześcijańscy w Sądowej Wiszni trudniący się od dawien dawna wyrabianiem parkietów na posadzki, mają coraz to trudniejsze stanowisko wobec rozwielmożniającej się tam lichej tandety żydowskiej. Wczoraj była u nas deputacya towarzystwa rękodzielników w Sądowej-Wiszni, składająca się z pp. Władysława Hahna, Józefa Krala i Michała Dobrzańskiego i przedstawiła nam opłakane stosunki, panujące w ich mieście. Parkiety wyrabiane przez chrześcijańskich stolarzy tamtejszych miały w kraju wielką wziętość, gdyż są wykonane sumiennie i z dobrego materyału. Stolarze bowiem w Sądowej Wiszni zachowali wszystkie piękne tradycye minionych czasów, są trzeźwi, pracują uczciwie, nie dążą do łatwych zysków, lecz radzi są, gdy ciężka praca da im środki do życia — więcej niczego nie pragną. W ostatnich czasach jednak i to im z trudnością przychodzi. Namnożyły się bowiem w ich mieście żydowskie pracownie tandeckie, których właściciele nie są wcale rzemieślnikami i dążą tylko do zrobienia majątku, a sprzedając towar liche po taniej cenie, łapią na to łatwowiernych i podkopują byt wielu rodzin. Najwięcej szkody przynosi im niejaki Samuel Koch, który nie będąc rzemieślnikiem, trudni się na wielką skalę pokątnie wyrabianiem parkietów i przez faktora swego Ascher Hölsera odmawia chrześcijańskim stolarzom ich długoletnich klientów. Ów Koch był już raz przez starostwo w Mościskach ukarany grzywną 50 złr. za nieprawne prowadzenie rzemiosła — nie zniechęciło go to jednak wcale, i nie zaprzestał dalszej faszerki, a obecnie dobrawszy sobie za parawan niejakiego Szymona Fruchtmanna, wniósł prośbę o udzielenie mu koncesyi na założenie w Sądowej Wiszni fabryki parkietów.

Stolarze w Sądowej Wiszni są tem mocno zaniepokojeni, bo wówczas zostaliby zrujnowani. Pokładają jednak całą swą nadzieję w tem, iż władze wezmą ich w obronę i nie dopuszczą do tego, aby człowiek, nie mający żadnej kwalifikacyi zawodowej, odbierał im ich jedyny sposób do życia.

W Paryżu w tych dniach, w Palais de l'industrie, otwartą została wystawa obrazów i rzeźb wykonanych przez kobiety (Exposition de l'union des femmes peintres et sculpteures). Sztukę polską reprezentuje na niej pani Natalia Andriolli i reprezentuje ją godnie. Artystka widocznie pragnie dowieść, że w sztuce można się doskonalić. Utwory jej dłuta, wystawione w roku zeszłym, były bardzo dobre, tegoroczne jednak są o wiele lepsze. W tym roku wystawiła ona „Boksera", „Dziewczynę" i drobnostkę z terrakoty, którą nazwała „Fantazyą". Bokser zdaje się być dziełem silnej ręki męskiej, a nie miękkiej kobiecej dłoni, tyle w nim męzkości i energii. Dziewczyna jest prześliczną, chociaż dla braku czasu, jeszcze zupełnie nie wykończoną. Fantazya przedstawia dziewczynę na pół połkniętą przez ryby.

Wogóle wystawa związku kobiet wypadła w tym roku świetnie. Przeważają na niej rzeźby. Prawdziwie dobrych kompozycyj jest wiele, miernych i nieudolnych rzeczy mniej, niż w latach poprzednich.

Romans życiowy. Z Tryjestu donoszą, że w Abbazyi rozegrał się pod koniec karnawału ostatni rozdział pewnego romansu. Od kilku tygodni mieszkała tam w hotelu „Stefania" jakaś bogata dama z Szegedynu wraz ze swoją 17 letnią córką. Matka, piękność 37-mioletnia; córka zaś rozkwitający świeżo pączek róży, narzeczona bogatego młodzieńca z Budapesztu, który w zapusty przybył ją odwiedzić. Podczas jego odwiedzin, ulegając jego namowom, wyjechała panna do Fiume, pod opieką znajomej rodziny, ażeby uczestniczyć w zabawach na Corso. Wieczorem wróciła do Abbazyi, gdzie w hotelu zamiast matki i oblubieńca, znalazła na stole list, z którego dowiedziała się, że wyjechali na zawsze i że za kilka dni były jej narzeczony poślubi jej matkę.

Zwątpienie dziewczęcia było okropne. Na szczęście wspomniana rodzina zajęła się losem nieszczęśliwej i odwiezie ją do jej ojczyzny.

Mirosław Dobrjański, znany Galicyi z procesu Olgi Hrabarowej ajent rosyjski, mianowany został w Petersburgu pomocnikiem oberprokuratora św. Synodu, przyczem zaliczono go do piątej rangi czynowniczej. Dobrjański był przedtem urzędnikiem policyjnym przy generał gubernatorze w Warszawie, ale z końcem r. 1890 poszedł w odstawkę.

Szczodry dar. Pan Maurycy Lazarus, dyrektor Banku hipotecznego, obchodził dnia 8 bm. 25letni jubileusz pracy i kierownictwa tą instytucyą. Jubilat, pragnąc dzień ten upamiętnić, złożył na ręce Rady nadzorczej Banku 8000 zł. w akcyach Banku hipot. przeznaczając dochód z tej sumy na zapomogi dla tych urzędników Banku, którzy w skutek nieprzewidzianych wypadków zapotrzebują doraźnej pomocy pieniężnej.

Ofiarowawca, który postępowaniem swem zdołał pozyskać serca wszystkich podwładnych mu urzędników, nowym tym aktem dał niezbity dowód, że los ich mocno go obchodzi i że się szczerze nimi zajmuje.

Z Rudek nam donoszą:

Dnia 27 zm. odbyło się u nas przedstawienie amatorskie w sali Rady powiatowej.

Odegrano dwie komedye Aleksandra hr. Fredry p. t. „Pierwsza lepsza" i „Nikt mnie nie zna". — Przed przedstawieniem i między aktami wygłoszono kilka poetycznych utworów Aleksandra, Jana Aleksandra i Andrzeja hr. Fredrów. Gra amatorów i deklamacye wypadły bardzo dobrze. — Dochód czysty, jak na nasze stosunki, jest znaczny; wynosi bowiem przeszło 60 zł. Przeznaczono go na pomnik Aleksandra hr. Fredry. — Po przedstawieniu odbyła się zabawa z tańcami.

Za miłą rozrywkę, połączoną z dobrym celem, winniśmy szczerą wdzięczność inicyatorom, którzy musieli walczyć z niemałemi trudnościami z powodu braku środków materyalnych; szanownym amatorom za poniesione trudy i wyborną grę, a Radzie powiatowej za pozwolenie urządzenia teatru amatorskiego w lokalu swoim obszernym i bardzo do tego celu odpowiednim. — Tutejsza publiczność cieszy się nadzieją dalszych przedstawień, gdyż, jak słychać, hrabia marszałek pozwolił i na przyszłość korzystać z lokalu Rady powiatowej, a i amatorom na chęciach nie zbywa; szkoda tylko, że tracimy znakomitą siłę i dotychczasowego reżysera p. Krudowskiego, inżyniera Rady powiatowej, który się przenosi do Bochni.

Z Berlina donoszą, iż w tych dniach p. Władysław Rabski, po złożeniu pracy „O znaczeniu satyr Krzysztofa Opalińskiego", uzyskał stopień doktora filozofii z predykatem *magna cum laude*. P. Rabski poświęca się głównie literaturom słowiańskim, filozofii, oraz historyi sztuki.

Bal polski w Londynie, urządzony staraniem pani Adamowej Giełgudowej, odbył się w końcu stycznia na sali Westminster-Hall. Bawiono się ochoczo do późna, a do kasy Tow. przyjaciół Polski wpłynęło 60 fnt. szt. z górą.

Tajemnicza zbrodnia. Z Paryża donoszą 5 b. m: W pewnym tutejszym klubie popełniono ubiegłej nocy zbrodnię. Ponieważ żaden z tutejszych dzienników nie doniósł dotąd nic o tem zajściu, nie mając o niem wiadomości, opisujemy fakt ten bez wymienienia nazwiska ofiary. Hrabiego d'...., jednego z najbogatszych członków tego klubu, znaleziono o godzinie 2 w nocy na schodach prowadzących ze sali na ulicę na pół nieżywego. Z głębokiej rany, pochodzącej od silnego cięcia w szyję, broczyła się krew. Przed kwadransem w sali bawialnej miał on przy sobie kwotę 45 tysięcy franków, której już nie znaleziono u leżącego na schodach. Przywołany lekarz orzekł, że rana nie zagraża życiu; hrabia jednak do dzisiaj nie odzyskał przytomności. Wszyscy tej nocy bawiący w klubie członkowie w porozumieniu z przewodniczącym i lekarzem, postanowili cały wypadek zachować w tajemnicy.

Samobójstwo adwokata Dzienniki niemieckie otrzymały przed kilku dniami telegramy z Moskwy donoszące o samobójstwie adwokata Loewensohna. Zrazu zdawało się, że jest to samobójstwo polityczne; tymczasem z otrzymanych dziś dzienników moskiewskich dowiadujemy się, że był to pospolity dramat XIX stulecia. Adwokat Loewensohn żył na wielką

stopę, trzymał powozy i konie, miał lożę w operze, dawał obiady i bale, a ponieważ dochody z kancelaryi na to nie wystarczały, więc używał depozytów, składanych u niego przez klientów. W końcu gdy i depozyty skonsumował, zaciągnął w banku pożyczkę na kamienicę jednego ze swoich klientów, który, wyjeżdżając za granicę dał mu zupełne pełnomocnictwo. Klient bawił we Włoszech na kuracyi rok cały, a tymczasem p. adwokat puścił kilkadziesiąt tysięcy rubli, które wziął z banku, a gdy klient wrócił i wniósł skargę do prokuratoryi i gdy p. Loewensohna aresztowano, zdołał on połknąć silną dozę strychniny, którą miał w kieszonce od kamizelki. W kwadrans potem już nie żył.

Oratorskie zwroty socyalistów. Na jednem z ostatnich zgromadzeń robotniczych w Berlinie przemawiał jeden z mowców w te słowa: „Musimy koniecznie walczyć przeciw podatkom pośrednim, bo one są tym wampirem, który objada się naszym potem i dzieciom naszym chleb z pod nosa kradnie“.

Inny mówca wykazywał, „że jest to prawdziwo dobrodziejstwo, iż robotnicy lubią wygódki i mają także swoje pańskie zachcianki“. Mowę swą zakończył temi słowy: „Widzicie więc towarzysze, że brak potrzeb jest prawdziwą klątwą. Włoch pracuje mało, bo nic ma potrzeb. Lubi on tylko leżeć pod drzewem makaronowem („Maccaronibaum“) i czeka, aż mu dojrzałe owoce wpadną do ust“.

Trzeci mówca tak dowodził: „Dążenie rządu do odjęcia nam wszelkiej wolności, wygląda tak, jak gdyby ktoś chciał śledzia odduczyć wody pić. Cóż stanie się z takim śledziem? Oto puszczony na wodę, utonie, bo zapomniał pływać“.

Z pod Złoczowa nam piszą:

Chciałbym za pośrednictwem waszego pisma podzielić się z szerszem gronem przedsiębiorców gorzelnianych doświadczeniem, jakie zrobiłem w bieżącej kampanii, a które wskazuje dosadnie, że albo organa skarbowe mylnie interpretują ustawę gorzelnianą, albo też przedsiębiorcy gorzelń nie mogą polegać na paragrafach tej ustawy, lecz muszą się stosować do jakichś często im nieznanych szczegółowych instrukcyj. Dla dokładnego objaśnienia tego, co tu piszę, podaję fakt, jaki zaszedł w mojej gorzelni.

Dnia 20 listopada r. z. doniesiono mi, że w gorzelni z powodu zatkania się rur przewodzących robotę ruch musi być wstrzymany. Biorę więc ustawę do ręki, aby się dowiedzieć, co mi w podobnym wypadku czynić należy, i w § 63 tej ustawy czytam, że „jeżeli z powodu nieprzewidzianej i niedającej się usunąć przeszkody ruch gorzelniany wstrzymany lub przerwany zostaje, kierownik gorzelni uwiadomić ma o tej przeszkodzie pisemnie w dwóch egzemplarzach najbliższy organ skarbowy, któremu dozorowanie tej gorzelni zostało poruczone. Doniesienie to wciągnąć należy również do rejestru gorzelnianego w sposób w § 61 polecony.“

Ponieważ u mnie zadzór nad moją gorzelnią znajduje się o 27 kilometrów, a oddział straży skarbowej o 6 kilometrów, więc naturalnie robię przepisane doniesienie do oddziału. W kilka godzin zjawia się w gorzelni kierownik oddziału, a gdy go wezwałem, aby mi plomby odjął i dalszy ruch gorzelni umożliwił, albo przynajmniej zbadał, jaka naprawa będzie potrzebna, oświadczył *mi*, że przepisy na to nie pozwalają.

Biorę więc znowu do ręki „Przepisy wykonawcze“ do ustawy gorzelnianej i znajduję tam w § 42: „Skonstatowanie przerwy jest z porządku rzeczy obowiązkiem kierownika o d d z i a ł u straży skarbowej“, a dalej w § 43 „Skonstatowanie dochodowo-urzędowe uskutecznionem bywa przez zbadanie stanu rzeczy na miejscu jak najrychlej. Cel dochodowo-urzędowego skonstatowania polega na tem, żeby zbadać prawdziwość doniesienia itd.“, a wkońcu w tym samym paragafie „pozostawionem być musi znajomości rzeczy i oględności organu skarbowego wyszukanie prawdziwej drogi i odpowiednich środków.“

Z tych znowu paragrafów doszedłem do przekonania, że kierownik oddziału powinien przynajmniej chwilowo, zanim przybędzie kierownik nadzoru, przeszkodę zbadać i usunąć i aż do przybycia tego ostatniego zaprowadzić w gorzelni stały dozór.

Gdy więc kierownik oddziału plomb odjąć mi nie chciał, a gorzelnia cały dzień stała i człowiek zamówiony do naprawy gorzelni napróżno czekał, nie pozostawało mi nic innego, jak tylko kazać gorzelnikowi, aby plomby oderwał w obecności dwóch członków nadzoru, a równocześnie posłałem furę po kierownika nadzoru dla oplombowania po uskutecznionej robocie. — Nazajutrz wieczorem zjawił się w gorzelni respicyent w zastępstwie kierownika nadzoru i oświadczył mi, że popełniłem w tym wypadku wykroczenie a mianowicie ukróciłem skarb w dochodach skarbowych i spisał ze mną „opis czynu“ tj. wydał w tej sprawie pół wyroku skazującego.

Śmiałem się z tej energii pana respicyenta, bo byłem pewny, że powiatowa dyrekcya skarbu ten „opis czynu“ wrzuci do kosza, gdyż zrobiłem wszystko według przepisu ustawy, a do naprawy gorzelni przystąpiłem tylko w tym celu, aby organom skarbowym nie zabierać drogiego czasu, którego mają tak mało. Tymczasem powiatowa dyrekcya skarbu skazała mnie na 50 zł. grzywny; gorzelnika zaś, który był tylko ślepem narzędziem w moich rękach i z powodu obawy utraty chleba robił co mu kazałem, na 25 zł. także za „ukrócenie skarbu w dochodach.“

Więc to, że przez wstrzymanie ruchu gorzelni poniosłem kilkaset guldenów straty, że bydło moje dwa dni stało o głodzie, jest „ukróceniem skarbu w dochodach“.

Szkoda moich studyów prawniczych, kiedy nawet paragrafów ustawy gorzelnianej zrozumieć nie potrafię, i szkoda pieniędzy wydanych na podręczniki tej ustawy. Koledzy zaś moi, przedsiębiorcy gorzelń, niech się z praktyki dowiedzą, że w hierarchii straży skarbowej „organ“ zaczyna się dopiero od respicyenta.

Fakir Soliman Ben Aissa, o którego nadzwyczajnych produkcyach w Berlinie donieśliśmy niedawno, bawi obecnie w Wiedniu i wprawia w podziw wszystkich, którzy mają sposobność widzieć jego popisy. Dzienniki tamtejsze podają nową wiązkę szczegółów o tym dziwnym człowieku. Soliman, który, nawiasem mówiąc, nie wygląda wcale na Afrykanina, mimo, że ztamtąd pochodzi, wykonuje produkcye swoje w arystokratycznych domach wiedeńskich, wobec licznie przez gospodarza domu zaproszonych gości. Każdy swój występ poprzedza króciutkim wykładem o sekcie religijnej Aissa-Onnas istniejącej w Marokko, do której sam należy. Potem następuje znane już czytelnikom naszym palenie proszku, którego dymem fakir odurza się, ażeby przygotować się do popisu. Proszek ten składa się, jak Soliman zapewnia, z kilku alkaloidów, i z roztartych na proch niedźwiadków i węże. Profesor Mosetig, który był obecny na jednym z jego popisów, zachował sobie szczyptę takiego proszku celem chemicznego rozbioru. Po inhalacyi tajemniczego dymu, robi Soliman dziwne poruszenia całem ciałem, w coraz szybszem tempie, tak, że wreszcie widać tylko migający się przed oczami przedmiot. Nakoniec ustaje w tej szalonej gimnastyce, a na jego usta występuje obficie piana. Teraz zaczyna owe straszne produkcye z przekłuwaniem policzków, warg i języka. Dodać należy, że wszystkie narzędzia, jakich w tym celu używa, poddaje najprzód do obejrzenia publiczności, a nawet pozwolił prof. Mosetigowi, ażeby mu sam przekłuł język w dowolnem miejscu, przyczem nie wyciekła ani odrobina krwi, ani też najlżejszem drgnięciem nie zdradził bolu. W takiej pozycyi zdjęto z niego fotografię. Płonącą pochodnię smolną włożył sobie pod pachę i trzymał ją na żądanie publiczności przez pół minuty, t. j. przez czas, który wedle zapewnień obecnych tam lekarzy, wystarczył na silne poparzenie. Po odjęciu pochodni zobaczono tylko okopcone dymem ciało, a rany ani śladu. Podaną sobie szklankę zbił Soliman, wziął duży kawałek rozbitego szkła do ust, zgryzł jak cukier i przełknął. Nakoniec nastąpiła produkcya z wężami. Tu dodać potrzeba, że wszystkie węże były istotnie jadowite i oddawano je do zbadania uczonym zoologom. Węże te kąsały Solimana w ręce i w nogi tak silnie, że krew płynęła, a nie wywołało to żadnych złych następstw. — Wyczerpawszy cały zapas swych sztuk, zmęczony i bezwładny osunął się fakir na podłogę i na chwilę zapadł w jakąś senną niemoc, ale wnet obudził się i wstał zupełnie zdrów i wesół.

Podczas swoich przedstawień występuje Soliman w kostiumie arabskim, zwykle ubiera się po europejsku. Publicznych popisów nie chce urządzać.

Na zupę rumfordzką złożono w handlu J. Drexlera i Synów plac Kapitulny l. 2: hr. Mierowa 10 złr., ks. kanonik Stańkowski 5 złr., p. Kielianowska 5 złr., S. D. 1 złr.

Rozdano od dnia 21 lutego br., do dnia 27 lutego br. 1920 porcyi zupy, 1920 porcyi chleba i tyleż od dnia 28 lutego do 5 marca 1892.

Ignacy Drexler, zastępca prezesa rady miejscowej Towarzystwa Ś go Wincentego a Paulo.

Zmarli. Ksiądz Jan Miejski, gr. kat. proboszcz w Łopince, zmarł w 72 roku życia i 46 kapłaństwa. — Jan Mykitka, słuchacz teologii, zmarł w Zalasiu. — Jan Kanty Dydyński, właściciel dóbr ziemskich, kurator fundacyi Antoniego Dydyńskiego, zmarł wczoraj nagle w Brzozowie. — A. Kłosowski, c. k. porucznik, zmarł w Międzyrzeczu. — Franciszek Ksawery Skrzyński, właściciel dóbr, zmarł w 81 r. życia w Krościenku. — Wanda z Starowiejskich Duninowa, żona właściciela dóbr ziemskich w powiecie liskim, zmarła dnia 4 b. m. — Karolina z Fabrów Hoffmanowa, nauczycielka przy szkole ewangelickiej we Lwowie, przeżywszy lat 27, zmarła dnia 10 bm. we Lwowie.

Temperatura. Termometr + 3° R. Barometr 755° Spada. Pogoda prześliczna. Rano było 6 stopni zimna.

Na egzaminie z zoologii w szkole żeńskiej. — Niechże mnie panienka powie, jakie zwierzę dostarcza nam najbardziej ciepłych futer?

Podlotek po długim namyśle:

— Boa, panie profesorze.

Teatr. Dziś we czwartek (10 bm) o godzinie siódmej wieczorem: „Faust“, opera w 5-ciu aktach Gonnod'a. Występ panny Bussi, i pp. Bernharda, Jeromina i Warmutha. — Jutro w piątek po południu o godz. wpół do 4: drugie przedstawienie „Wielkiej ruchomej dioramy“, profesora A. Malinowskiego z Berlina; wieczorem o godzinie siódmej po raz drugi: „Żywy posąg“, obraz dramatyczny w 6 odsłonach Teobalda Cigoni'ego.

Literatura i Sztuka.

Z teatru. Dramat włoskiego autora Cicogniego „Żywy posąg“, dzieło głębokiego umysłu i niezaprzeczonego talentu dramatopisarskiego, przeszedł wczoraj przez deski teatru lwowskiego i zrobił na inteligentnej publiczności pożądane wrażenie. Autor broni tezy „wiecznej miłości“, tego prawdziwego głębokiego uczucia, które nie wygasa w sercu ludzkiem po rozłące z osobą ukochaną, nie kończy się nawet w razie jej śmierci, — tego uczucia, o którem nasz poeta Krasiński powiada: „Znasz ty miłość, która nęci dusze wiecznie w kraj pamięci?“ Powiadamy, że autor b r o n i swej tezy, bo rzeczywiście w naszym zmateryalizowanym końcu stulecia pojęcia autora zdają się niektórym godne politowania niby fantasmagorye półszaleńca... Uważaliśmy to na wczorajszem przedstawieniu, kiedy podnioślejsze ustępy przyjmowała część publiczności z lekkim uśmiechem pobłażania dla autora i — bohaterów sztuki. Natomiast inna część publiczności czulsza na głębsze nuty uczucia zajęła się dziełem od razu a wrażenie potęgowało się u niej w miarę rozwoju wypadków na scenie. Po silnych efektach dramatycznych następuje w końcu sztuki zwycięstwo idealnego pierwiastku natury ludzkiej i daje widzowi najzupełniejsze zadowolnienie.

Zaznaczamy na razie tylko ogólnikowo treść i tendencyę sztuki, pragnąc zwrócić na nią uwagę szerokiej publiczności, bo wczoraj udział jej w teatrze był niestety dość nieliczny. Podnieść także musimy zaletę dekoracyjnych efektów w wystawie, na którą dyrekcya nie szczędziła widocznie starań i kosztów.

Dla gry artystów mamy same tylko pochwały w pierwszym rzędzie dla p. Woleńskiego, oraz dla pani Stachowiczowej, która z przetrudnej roli „kobiety z lodu“, uszlachetnionej następnie uczuciem prawdziwie głębokiem, wywiązała się zupełnie zadowalniająco.

R. P.

Rozmaitości.

— **Specyalizacya prasy.** Nie ma już chyba fachu, któryby specyalnych swych nie miał dzienników. Zwłaszcza w literaturze niemieckiej pisma fachowe rosną, jak grzyby po deszczu. Ale produktem naj bardziej chyba nowożytnym jest pismo założone w Zittawie, w Saksonii, liczące już przeszło rok istnienia, cieszące się znacznym pocztem prenumeratorów, a zatytułowane: „Reklama, pismo fachowe, interesom reklamujących się poświęcone“.

Dziennik ten podaje teoretyczne wiadomości, dotyczące kosztów reklam we wszystkich krajach europejskich, zamieszcza na swych łamach katalogi próbne i ilustracye, w artykułach zaś wstępnych i odcinkach zajmuje się kwestyami tej miary, jak naprzykład pytanie: „Jak lepiej reklamować się: często, czy też obszernie?“ Stosunki pomiędzy redakcyą a czytelnikami są bardzo ożywione, gdyż w rubryce odpowiedzi znajdujemy całoszpaltowe artykuły, wyjaśniające najskuteczniejsze sposoby urządzania okien wystawowych i tym podobnych szczegółów, mających na celu możliwie najjaskrawsze zwracanie uwagi na kupca, sklep i towar.

A oto zawartość jednego z ostatnich numerów.

Na czele widnieje artykuł wstępny p. t. „Reklama jako potęga“, dalej spotykamy studyum nad reklamą uliczną w Londynie, dalej jeszcze, w dziale kroniki bieżącej, najdowcipniejsze reklamy, czerpane przeważnie z amerykańskiego świata kupieckiego.

Między innemi spotykamy dział ogłoszeń „wzorowych“.

Pierwsze brzmi:

„*Potrzeba i żelazo łamie*

myślał złodziej, dobierający się przy pomocy wszelkich narzędzi rzezimieszkowskich do bogato wypakowanej szafy bankiera X. Omylił się, gdyż szafy ogniotrwałe fabrykacyi Igreka w Z. przeczą wyżej cytowanemu przysłowiu“.

Albo:

„*Kolumb*

nie marzył nawet w chwili odkrycia Ameryki, aby po 400 latach można było palić tak wykwintne cygara importowane, jakich dostarcza firma A w B.“

Albo:

„*Bismark*

portretowany bywa często z ogromną fajką w rękach. Kto palić lubi, a chce choćby fajką przypominać kanclerza, niech się zwróci do itd.“

Dodajmy, iż redakcya nie ogranicza się na podawaniu owych wzorów. Przeciwnie, zestawia je ze sobą, porównuje, wyciąga wnioski, analizuje styl, metodę podkreślania pojedyńczych wyrazów itp. Powstaje w ten sposób nauka całkiem odrębna, którą pismo od dawna już „filozofią reklamy nazywa“.

Po za „wzorami“, nadającemi się do analizy, podaje pismo i cały szereg oryginalnych reklam, nadsyłanych z różnych punktów globu ziemskiego przez korespondentów. Oto próbka reklamy jednego z kupców bławatnych z New-Jorku, który w pustem zupełnie i ogołoconem ze wszystkiego oknie wystawowem zamieścił napis następujący:

„Mieliśmy zamiar okno niniejsze przyozdobić najnowszemi nowościami sezonu. Niestety, jesteśmy tak zajęci wewnątrz sklepu obsługiwaniem naszych gości, że musieliśmy pozostawić okno

próżnem,

prosimy zaś jednocześnie, aby szanowna publiczność dla obejrzenia wzmiankowanych powyżej nowości, raczyła się zwracać wprost do naszych subjektów“.

Jeden znów z korespondentów z Chicago chwali się „sztuczką“ następującą:

„Mam sklep jubilerski. Pewnego razu wystawiłem obok siebie dwa najpiękniejsze brylanty, jakie miałem w mem posiadaniu, obok zaś umieściłem napis: „Który z nich prawdziwy?“ Przez cały tydzień miałem prawdziwą procesyę ciekawych dam, które prosiły o rozwiązanie zagadnienia. Odpowiadałem wówczas wszystkim bez różnicy, iż oba brylanty były prawdziwe. Na 12 tysięcy dam, które przez tydzień odwiedziły mój skład, kilka tysięcy uważało się w obowiązku nabyć choćby najmniejszą drobnostkę“.

Redakcya „Reklamy“ w każdym numerze powtarza swym abonentom: „Panowie, czytajcie, porównywajcie, uczcie się, ale... nie naśladujcie. Najdowcipniejsza nawet reklama, powtórzona kilkakrotnie, traci na skuteczności“.

Część ekonomiczna.

§ **Sprawozdanie** tygodniowe izby handlowej i przemysłowej o cenach zboża i produktów we Lwowie od 27 lutego do 5 marca 1892 r. bez opłaty akcyzowej: Pszenica 10·60—11·00, żyto 9.20 do 9 50, jęczmień browarny 7 ——7·35, pastewny 6.00 – 6 50, owies 7 25—7.60, hreczka 9.35—9.85, kukurudza zeszłor. 6.50—6.70, nowa 6.50—6·70, groch do gotowania 8 50—10.50, pastewny 6.50 do 7 50, fasola 6·75—7.—, bobik 6.50 do 7.25, wyka 5 50—6 50 koniczyna 50 — do 75.—, anyż rosyjski —.— do —.—, anyż płaski —.— do —.—, kminek —.— do —.—, rzepak zimowy 11 00 do 12·00 letni —.— do —.—, lnianka 0.00 do —.—, nasienie lniane —.— do 00·00, chmiel —.00—00, nafta zwykła 14 25—15.25 salonowa 16 50—17 50. Spirytus 10.000 literpr. gotowy kontyngentowany, z podatkiem konsumcyjnym 54.40—54 85.

§ **Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.**

Kraków 8 marca.

Konjunktury handlu zbożowego przedstawiają się obecnie mniej pomyślnie, dla tego spekulacya zdradza chęć realizacyi zakupionych produktów, przyczem jednak zaofiarowanie nie jest jeszcze zbyt natarczywem i dla tego jedynie ceny nie doznały dotąd znaczniejszego spadku. Na targu dzisiejszym objawiła się znowu dotychczasowa stagnacya, gdyż tylko bardzo małe obroty miały miejsce, przez co zapasy leżącego zboża nie doznały wcale uszczuplenia, zwiększając się raczej nadchodzącemi dowozami. Drobne partye pszenicy i żyta, jakie były sprzedane, płacono cokolwiek taniej, lecz w obec braku obrotów różnice w cenach nie dadzą się nawet dokładnie ocenić. — Jęczmień i owies po cenach dotychczasowych słaby napotykają odbyt.

Płacono: za pszenicę białą od 11.50—12.00, za czerwoną od 11·40—11·90, za żółtą od 11.30 do 11 90 *zł.*, za żyto 10.35 do 10 70 zł.; za jęczmień browarny od 8·00 do 8 50 zł; na paszę od 7 25 do 7·75 zł.; za owies od 6 80 do 7·15 zł.; rzepak od —·— do —·—. Wszystko za 100 kilogramów.

Wiedeń 8 marca.

(*Z*) Zagraniczne targi zamknęły obrót wczorajszy w bardzo silnem usposobieniu, co i na naszę giełdę korzystnie oddziałało. W Paryżu była znaczna haussa w rentach, a w Berlinie dosięgły ruble kursu 207. 5. Opowiadano tam, że w maju na pewno zniesiony zostanie zakaz wywozu zboża z Rosyi, tudzież że na wiosnę nie przedsięweźmie Rosya żadnych dyslokacyj wojsk. Kupowano także w Berlinie dużo złotej renty węgierskiej. Licząc się z tem wszystkiem, rozpoczęła i nasza giełda obrót dzisiejszy w lepszem usposobieniu i znacznie wyższemi kursami. Wprawdzie i dziś nie mogli się rozentuzyazmować nasi spekulanci i wielu z nich dalej sprzedawało, mimo to jednak zamknęliśmy dzień zwyżką. Kredyty poszły w górę o 1¼ zł., anglosy o 1 zł, uniony o 1¾ zł., renty wspólne od 15 do 25 centów, węgierskie o 20 ct. Większy ruch panował dziś także na targu papierów kolejowych, które też uzyskały kilkodziesięciocentowe zwyżki. Tylko lombardy notowano niżej. Wprawdzie i one poszły z początku w górę, gdyż bilans miesięczny za luty wykazuje dochody większe aniżeli w roku przeszłym, wnet jednak przypomniano sobie, że luty miał w tym roku 29 dni, zatem nie ma właściwie żadnego zwiększenia się dochodów i szarpnięto ich kurs znacznie w tył tem bardziej, że w Paryżu pryorytety tej kolei z niewiadomych bliżej powodów spadły nagle o 10 franków na sztuce.

Dzień dzisiejszy zamknęliśmy następującemi kursami:

Kredyty austrj. 308 25, węgierskie 343 50, Anglobanki 152·—, Uniony 233 75, Bankvereiny 112·50. Länderbanki 204·30, Ludwiki 211 50, Czerniowieckie 246·50. Renta papierowa 94·55, srebrna 94 05, austryacka złota 110 35. papierowa 102 80 węgierska złota 107 55 papierowa 102·15, dukat 5·57, 20 frankówka 9 43½, marki 11·61—, ruble 1·20 zł.

Telegramy „Przeglądu“.

Londyn 10 marca (pryw.) Cała rodzina królewska wyjeżdża z Anglii. Królowa udaje się 17 bm. do Hyères, gdzie zabawi do maja; książę Walii wyjeżdża dziś z żoną do Saint-Raphaël w departamencie Var, w południowej Francyi; księstwo Teck z księżniczką May jadą jutro do Mentony.

Wiedeń 10 marca (pryw.) W kolegium lekarskiem złożył dr. Benedikt, profesor tutejszego uniwersytetu, opis operacyi, jaką dokonał na czterdziestoletnim mężczyźnie, chorym od kilkunastu lat na epilepsyę. Dr. Benedikt otworzył mu czaszkę, wyciął narośl na mózgu, o której sądził, że jest powodem choroby, poczem ranę zagoił dość rychło. Człowiek ten jest dzisiaj zupełnie zdrów i żadnych ataków epiletycznych nie miewa.

Paryż 10 marca (pryw.) Według otrzymanych przez tutejsze koła polityczne wiadomości z Petersburga, ma się car chwiać w swojej wierze w mądrość i doskonałość despotyzmu, a w skutek tego polecił archiwum państwowemu przedłożyć sobie akta w sprawie projektowanej przez Aleksandra II konstytucyi, którą on był już niemal podpisał przed tragiczną swą śmiercią.

Wiedeń 10 marca. W dalszym ciągu obrad ankiety dla regulacyi waluty złożyli swe oświadczenie pp. Bunzl, Dimmer z Tryjestu, prokurzysta domu Rotszyldów Dub i Dutschka. Wszyscy czterej oświadczyli się za zaprowadzeniem waluty złotej. Co się tyczy pozostawienia srebrnych monet nadal w obiegu, były zdania podzielone. Pp. Bunzl i Dimmer są za zatrzymaniem monet srebrnych w ograniczonej ilości, Dub odpowiedział wymijająco, że jest wprawdzie bezwarunkowym zwolennikiem waluty złotej, jednakże zaprowadzenie jej zależy głównie od zagranicy i byłoby wielkiem nieszczęściem, gdyby po zaprowadzeniu waluty złotej okazał się brak złota na targach pieniężnych, dla tego też należy jeszcze pozostawić srebro w obiegu. Dutschka żądał wykluczenia srebrnych monet. Także co do jednostki monetarnej były zdania podzielone: jedni żądali zatrzymania guldena i zaprowadzenia półguldena jako mniejszej jednostki monetarnej, drudzy oświadczyli, że należy stworzyć całkiem nową jednostkę monetarną.

Bukareszt 10 marca. Jenerał Mano wybrany został prezesem izby deputowanych.

Budapeszt 10 marca. Na wczorajszem posiedzeniu ankiety dla regulacyi waluty, złożyło sześciu członków swe oświadczenie. Oświadczenia te są mniej więcej identyczne ze złożonemi przedwczoraj. Wszyscy przesłuchani wczoraj experci są za zaprowadzeniem złotej waluty. Tylko co do jednostki monetarnej były zdania podzielone: jedni żądali zatrzymania guldena, drudzy zaprowadzenia półguldena, inni wreszcie zaprowadzenia franka jako jednostki monetarnej.

Berlin 10 marca. *Reichsanzeiger* zaprzecza wiadomości podanej przez *Kreuzzeitung*, iż między rządem niemieckim a księciem Cumberlandem toczyły się rokowania w sprawie przyznania synowi księcia prawa do sukcesyi tronu brunszwickiego.

Ateny 10 marca. Rząd postanowił nie rozwiązywać izby, lecz odroczyć ją, a za ponownem zebraniem się przedłożyć jej znacznie zmniejszony budżet.

Wiedeń 10 marca. Robotniczy komitet ratunkowy czynił zabiegi w policyi, aby cofnięto zakaz publicznego rozdawania chleba ludności nie mającej zajęcia. Zabiegi te jednak nie odniosły żadnego skutku.

Budapeszt 10 marca. W sejmie wniósł hr. Apponyi samoistny projekt adresu do tronu. W mowie swej występował hr. Apponyi namiętnie przeciw dzisiejszemu rządowi, zarzucając mu, że podkopuje prawnopaństwowe stanowisko Węgier i ogranicza rękojmie ich samodzielności. W końcu oświadczył Apponyi, iż w razie przyjęcia projektu adresu większości parlamentarnej wniesie rozmaite poprawki, gdyż adres wypracowany przez stronnictwo liberalne mógłby stanowić niebezpieczny prejudykat na przyszłość.

Fiume 10 marca. Odbył się tu pojedynek między komendantem korpusu weteranów Schoedlem a adwokatem Barcichem. Powodem pojedynku było, iż Barcich wyraził się lekceważąco o korpusie weteranów. Barcich został śmiertelnie raniony i umarł po kilku godzinach.

Budapeszt 10 marca. Sejm na tajnem posiedzeniu uchwalił dzisiaj dyety poselskie z jednego dnia ofiarować na włościan cierpiących głód w północnych powiatach Węgier, a potem na jawnem posiedzeniu prowadził dalej obrady nad adresem.

Konstantynopol 10 marca. W zeszłą sobotę zaaresztowała była policya tutejsza niejakiego Szyszmanowa, agenta ambasady rosyjskiej, bardzo podejrzanego o to, że brał intelektualny udział w zamordowaniu bułgarskiego posła Wulkowicza, aliści na skutek nadzwyczaj energicznych reklamacyj tutejszego rosyjskiego konsula, policya wydała mu owego Szyszmanowa.

Wiedeń 10 marca. Na dzisiejszem posiedzeniu ankiety dla regulacyi waluty pod prezydencyą ministra finansów złożyli swe oświadczenia pp. Schachinger, Dr. Zgórski i prezes Anglobanku Ellbogen.

Wszyscy oświadczyli się za zaprowadzeniem waluty złotej. Za zatrzymaniem srebra w obiegu oświadczyli się Schachinger i Zgórski, a za emissyą państwowych czeków tylko Schachinger. Zgórski zgadza się na nią tylko w peryodzie przejściowym, a Ellbogen nie zgadza się ani na czeki kasowe ani na zatrzymanie srebra w obiegu.

Co się tyczy relacyi wartości dzisiejszego guldena do przyszłego złotego zalecał Schachinger nie przerywania ciągłości, a Ellbogen zalecał oznaczenie relacyi na podstawie przeciętnego kursu z kilku ostatnich miesięcy, przyczem zaokrąglenie ma się odbywać do dołowi.

Schachinger i Ellbogen jest za utrzymaniem guldena jako jednostki monetarnej.

Dr. Alfred Zgórski omawia ekonomiczny stan Galicyi i oświadcza, że uregulowanie waluty byłoby dla niej rzeczą bardzo pożyteczną. Mówca jest zwolennikiem waluty złotej, jednakże pragnie zatrzymać srebro w obiegu, a nawet powiększyć liczbę srebrnych guldenów; za to oświadcza się stanowczo przeciwko państwowym papierowym pieniądzom, któreby chyba tylko w epoce przejściowej istnieć powinny.

Co się zaś tyczy relacyi, to mówca jest zarówno przeciwnym kursowi przeciętnemu jak i kursowi owego dnia, w którym regulacya waluty nastąpi (Momentcurs). Zdaniem jego należy w każdym danym wypadku obrachować kurs z uwzględnieniem ceny targowej i zwyczajów kupieckich, przyczem zaokrąglenia należy zawsze robić ku górze.

Mówca oświadcza się w końcu za jednostką monetarną nie wyższą nad półguldena, a to z motywów socyalnych.

Przyjechali do Lwowa

dnia 10 marca 1892.

HOTEL IMPERIAL: F. Górski z Rykowa. Hr. St. Zamoyski z Wysocka. J. Chłapowski i St. Chłapowski z Poznania. H. Gruszecki z Krosna. J. Maniewski z Krużyk. A. Kossowski z Warszawy.

HOTEL FRANCUSKI: A. Stecki z Środopolca. K. Skowroński z Zawałowa. A. Brüggemann z Berlina. L. Winter z Czerniowiec.

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 10 marca godz. 1. min. 35

Akcje kred.	307 62	Węg. kolej półn wschodn.	199.50
Alpiny	61·20	Wiedeńskie losy kom.	154.—
Kredyty węg.	342 75	Akcje tyton.	164·50
Anglobanki	149 —	Gal. obl. indem.	104 75
Uniony	232 75	Elbethale	228 —
Ludwiki	211 75	Landerbanki	203·40
Nordbany	285 —	Renta zł. węg.	107·50
Lombardy	83 25	Bankvereiny	113·—
Losy tureckie	37 80	Renta węg. p.	102·10
Staatsbahny	281 25	Ruble	1·21·25
Czerniowieckie	246·25		

Usposobienie lepsze.

Lwów. Z Izby handlowej 10 marca 1892.

	płacą	żądają
1. Akcje za sztukę. bez kupony bieżącego bez dywidendy.		
Kolej galic. Kar. Lud 200 zł. w. a.	210 25	213 25
" lwow.-czer.-jass. 200 zł. w. a.	245 50	248 50
Banku hip. galic. 200 zł. w. a.	319 —	322 —
" kredyt. galic. 200 zł. w. a.	— —	[illegible] —
Listy zastawne za 100 zł.		
Banku hip. galic. 5% 40 "	100 50	101 20
Banku hip. galic. 5% z 10% pr	107 50	108 20
Banku hip. 4½% wa. los. w 50 lat.	98 30	99 —
Banku krajowego 4½% wa	98 50	99 20
Tow. kred. galic. 4% " nieokr.	96 80	97 50
" " " 4 " " " 41½	95 10	95 80
" " " 4½ " " 52 l.	99 40	100 10
" " " 4 " " 56 "	94 70	95 40
3. Listy dłużne za 100 zł		
Z. G. kr. wł. (daw. 6%) 3% w likw.	[illegible]6 —	8 —
" " " " (daw. 5%) 2½% "	[illegible]3 —	[illegible]6 —
4. Obligi za 100 zł.		
Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	104 50	105 20
Galic. fund. propinacyjnego 4% "	93 30	94 —
Bukow. fund. propin. 5% w. a.	100 50	101 20
Kom. banku kraj. 5 prc. wa. I em.	100 —	100 70
Pożyczka kraj. z r. 1873 6 pr. w. a.	104 50	— —
" " " 1883 4½%	[illegible]7 50	9[illegible] 20
5. Losy.		
Losy miasta Krakowa	[illegible]0 50	[illegible]2 50
" Stanisławowa	29 —	31 —

Pociągi kolejowe

Podług zegara lwowskiego (Od 1 października 1891.)

Do Lwowa przychodzą:	Pociąg pośp. lub kurjer	Pociąg osobowy	Pociąg osobowy	Pociąg mieszany
Z Krakowa	4·05	8 50	9·28	7.15
Z Podwołoczysk	2·20	7·30		8·15
Z Podwołoczysk na Podzamcze	2·06	7·01		[illegible]
Z Bukaresztu, Jass, Suczawy, Czerniowiec, Husiatyna i Stanisławowa	7·58	1·57		
Z Suczawy, Czerniowiec i Stanisławowa		6·52		
Z Suchej, Chyrowa, Husiatyna Stanisławowa i Stryja		3·45		
Z Kołomyi. Stanisławowa i Husiatyna		11.57		
Ze Stanisławowa, Budapesztu, Munkacza, Ławocznego i Stryja		9·06		
Z Pesztu, Ławocznego, Nowego Sącza, Chyrowa, Husiatyna, Stanisławowa i Munkacza		11·47		
Z Rawy				8 25
Z Sokala i Bełza				4·21
Ze Lwowa odchodzą:				
Do Krakowa	2·28	4·20	7·20	8·30
Do Podwołoczysk	4·11		9·50	10·35
Do Podwołoczysk z Podzamcza	4·22		10·15	11·05
Do Zimnejwody-Rudna			4·20	
Do Suczawy, Czerniowiec, Stanisławowa, Husiatyna, Jass i Bukaresztu	9·15	10·28		
Do Stanisławowa, Czerniowiec, Jas i Bukaresztu		4·29		
Do Stanisławowa i Kołomyi		5·23		
Do Stryja, Ławocznego, Munkacza, Budapesztu, Stanisława i Husiatyna		8·23		
Do Stryja, Chyrowa, Suchej i Stanisławowa		10·49		
Do Stryja, Stanisławowa. Husiatyna, Ławocznego, Pesztu, Chyrowa, Nowego Sącza i Munkacza		6·25		
Do Bełza i Sokala				9·24
Do Rawy				6·15

Uwaga: Godziny podkreślone linijką, oznaczają porę nocną od godziny 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

46)

Przy zamkniętych drzwiach

POWIEŚĆ

przez

Annę Katarzynę Green.

Przetłomaczyła z angielskiego p. Eugenia Żmijewska.

(Ciąg dalszy).

Miał plan następujący: wrócić do H., zabrać worek, zapłacić rachunek w hotelu, oddać konia i wsiąść do tego samego pociągu, którym Molesworth miał odjechać z S.

W ten sposób mógł pochwycić go w chwili, gdy zbieg wsiadałby do wagonu; lub w razie jakiego wypadku lub nowej sztuczki nieprzyjaciela, mógł zatrzymać się w S. i prowadzić indagacye na miejscu, gdzie widzano ostatnio Molesworthа.

Lecz przybywszy do H., doktor dowiedział się, ku wielkiemu swojemu strapieniu, że pociąg nie zatrzymywał się tam.

Jeśli chciał złapać Molesworthа, należało nająć natychmiast drugiego konia i podążać napowrót do S., lecz było to niemożebnem, gdyż burza się wzmagała i właściciel remizy nie chciał za żadne pieniądze wynająć wózka.

Cameron, rad nie rad, musiał się pogodzić z okolicznościami. Pocieszała go tylko myśl, że z powodu burzy pociąg północny spóźni się niewątpliwie i że wsiadłszy do pociągu, odchodzącego z H. o godzinie siódmej zrana, nie o wiele da się wyprzedzić swemu wrogowi.

XXX. Wielka burza.

Nocy tej doktor Cameron nigdy chyba nie zapomni. Przez cały czas dął wiatr przeraźliwy, deszcz ze śniegiem uderzał nawałnicą o szyby; gdy wreszcie dzień zaświtał, widok, jaki się przedstawiał oczom doktora, mógł do reszty odebrać mu otuchę. Góry śniegu nagromadziły się na ulicach tak dalece, że miasto nie było podobne do tego, jakiem się przedstawiało wczoraj. Wiatr, zamiast ustawać, wzmagał się ciągle; zamieć, jak to często bywa w marcu, gorsza była, niż w zimie.

Na szczęście, Cameron dowiedział się, że pociąg, który miał nadejść o północy, przybył dopiero o szóstej zrana do S. Doktor zapytał się telegraficznie zawiadowcy stacyi w tej miejscowości, czy nie wsiadł tam podróżny, którego podawał rysopis. Otrzymawszy odpowiedź twierdzącą, natychmiast, nie zważając na straszną niepogodę, kupił bilet i oczekiwał pociągu porannego; lecz i ten także się spóźnił, tak, iż Molesworth wyprzedził Camerona o trzy godziny. Nie dość na tem; wszędzie tor zasypany był śniegiem; trzeba było kilku godzin dla przebycia przestrzeni, która zazwyczaj zajmuje zaledwie kilka minut czasu.

— Losy sprzysięgły się przeciwko mnie — myślał Cameron — nie dość, iż straciłem z oczu nieprzyjaciela, lecz nadto sam narażam się na niebezpieczeństwo. Doznaję takiego uczucia, jak gdybym znajdował się na pustyni

Tymczasem mrok zapadał, a droga stawała się coraz gorszą do przebycia.

Cameron pogrążony we własnych kłopotach, nie uważał, co się naokoło niego dzieje, lecz powoli, widząc, że nie ma rady, otrząsnął się ze swego smutku i spojrzał uważniej na współtowarzyszów niedoli. Wagon do połowy napełniony był podróżnymi; znajdowało się w nim także kilka kobiet, które, rzecz dziwna, znosiły los swój z poddaniem. Dr. Cameron rozpatrzył się w sytuacyi. Była rozpaczliwą.

Lokomotywa czyniła wszelkie wysiłki, aby przebić nawałę śnieżną, lecz nadaremnie. Pociąg zatrzymał się nagle wśród szczerego pola.

— Nie ruszymy się stąd przez noc całą — mówił jeden z pasażerów niecierpliwie

— A tu mrok już zapada — dodawał drugi.

Kobiety nic się nie odzywały, lecz spoglądały na siebie.

— Chodźmy zobaczyć, czy nie da się co zrobić. Jest nas tu tylu, że może się na co zdamy.

— A gdzież łopaty? — reflektował ktoś mniej zapalony.

Dr. Cameron wyszedł na platformę, aby się przekonać na własne oczy, jak rzeczy stoją; lecz wiatr zwalił go z nóg; musiał powrócić znowu do wagonu. Poprzestał na rozglądaniu się przez okno i dostrzegł, że znajdują się na płaszczyźnie; nie widać było ludzkich mieszkań, lecz może ukrywały się one po za górami śniegu.

Zobaczywszy kilku palaczy, zapytał ich się, gdzie się znajdują i czy nie można dostać pożywienia w jakiej sąsiedniej fermie.

Odpowiedź nie była zadawalniającą. Stali na polu; najbliższe domy znajdowały się o trzy mile, z wyjątkiem domku Harvey, skąd z pewnością wypędzonoby każdego.

Wypędzić w taką noc! Doktor nie chciał temu wierzyć.

— A jakże stąd daleko do Harvey-cottage? — zapytał.

— O, nie dalej, jak mila — brzmiała odpowiedź.

Mila, to cała podróż wśród owych gór śnieżnych.

— Ale nie ma tam po co iść — przekładał palacz. — Stary Harvey nie otworzy drzwi nawet psu, a on je lubi. Jest to najdziwaczniejszy pustelnik, o jakim można słyszeć. Lepiej daleko pozostać w wagonie.

Doktor Cameron zgodził się na to zdanie; lecz gdy godziny upływały za godzinami, żal mu się zrobiło kobiet, które głód musiał trapić zapewne i zaczął rozmyślać, czyby nie wyjść z ciasnego wagonu i raczej narazić się na niebezpieczeństwo, niż wśród bezczynności trapić się strasznemi myślami.

Znalazłszy kilku towarzyszy, poszedł do konduktora i zapytał, w której stronie znajduje się Harvey-cottage i czy istotnie właściciel jego jest tak dalece nielitościwym, iżby odmówił chleba dla biednych, zmarzniętych i zgłodniałych kobiet.

— Lepiej przyłączcie się panowie do towarzystwa z przedniego wagonu które zamierza dostać się do najbliższej wioski, odległej stąd o trzy mile — odparł konduktor.

Dr. Cameron przystał natychmiast na plan taki i niebawem obie partye złączyły się i wyruszyły wesoło ku wsi.

Przez pierwsze pół godziny mieli tak trudną przeprawę, że gdyby który z nich znał drogę powrotną, zawróciłby z pewnością.

Dr. Cameron, który nigdy w swem życiu nie zaznał niewygód, upadał ze znużenia; lecz podtrzymywała go moc ducha, wydawał się na pozór silniejszym i odważniejszym od innych.

Wyruszył on w towarzystwie dwóch ludzi, którzy podobali mu się z pozoru, lecz za nadejściem nocy, wyprzedził ich i przyłączył się do jakiegoś nieznajomego, który widząc, że doktor zatrzymał się na chwilę dla złapania oddechu, podszedł do niego i podał mu ramię. Ten dowód współczucia dokonał cudu. Nowe siły przybyły Cameronowi i jakkolwiek, z powodu wiatru, nie mógł wyrazić w słowach wdzięczności dla człowieka, kroczącego u jego boku, to przynajmniej przyciskał serdecznie jego ramię.

Pozostała część towarzystwa nie złączyła się już z tymi dwoma; jeden po drugim upadał na siłach i zostawał na drodze. Śnieg nie ustawał ani na chwilę; wiatr dął przeraźliwie. Ciemności tymczasem zapadły zupełne.

Nagle, w chwili największego wycieńczenia dwóch podróżnych, zamigotało w dali światełko. To zdwoiło ich energię. Szli, przewalając się co kilkanaście kroków, lecz wciąż postępowali naprzód.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: Wacław Masłowski. — Papier Braci Fijałkowskich w Białej. — Z drukarni nar. W. Maniechiego — Zarządca: Walenty Hodak